

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Stanisław Lasek – Wspomnienia Kresowiaków – Sybiraków**

W krótkim zarysie przedstawimy tragedię naszej rodziny, jak i wielu innych, osiedlonych na Kresach Wschodnich. Mieszkaliśmy w kolonii Terpin, położonej nad rzeką Berezówką. Po drugiej stronie tejże rzeki znajdowała się druga kolonia – Dębina – z czternastoma rodzinami kolonistów. W centrum położona była wieś Dmytrów, w której mieszkało 1100 rodzin, przeważnie ukraińskich, a także mieszanych. Po drugiej stronie Dmytrowa były dwie kolonie czysto polskie – Bełzów i Strachów, kolonie te powstały w latach 1919-1920 z parcelacji dworu ziemianina – Ślężaka. Z początku gmina mieściła się w Dmytrowie, lecz w roku 1930 przeniesiono ją do Chołojowa, małego miasta na trasie Radziechów – Kamionka Strumiłowa.

Okolice to piękny płaskowzgórz żyznej ziemi podolskiej. Gospodarstwa kolonistów obejmowały powierzchnię od 5 do 12 hektarów. Rolnicy uprawiali pszenicę, buraki, lucernę i żyto. Każdy gospodarz posiadał mały sad owocowy. Kolonia Terpin była zamieszkała przez dziewięć rodzin: Leon Walski – siedmioro dzieci, Wojciech Lasek – dziewięcioro dzieci, Jan Koziół – dwoje dzieci, Felek Zbyrał – jedno dziecko, Henryk Łopuszański – bezdzietny, Jan Krawczyk – dziesięcioro dzieci, Michał Dziewa – dwoje dzieci, Jan Piekarz – troje dzieci, Franek Gawęłko – troje dzieci.

Kościół parafialny, w Chołojowie, oddalony był o 4 km, dlatego Polacy (koloniści) rozpoczęli budowę kościoła w Dmytrowie. Budowy niestety nie ukończono, gdyż wybuchła wojna w 1939 roku. We wsi Dmytrów mieliśmy 7-klasową szkołę III stopnia, Dom Ludowy, dużą cerkiew, karczmę „Jośka”, kooperatywę (spółdzielnię), elektrownię, która dostarczała prąd do miasta powiatowego Radziechów. We wsi Dmytrów nie było światła elektrycznego, za wyjątkiem młyna i dworu Ślęzaka. Władze powiatowe nie zezwoliły na zaciągnięcie kabli i elektryfikację wsi Dmytrów, pomimo że sieć słupów i przewodów była przygotowana przez całą wieś.

Wieś i jej budynki – to drewniane domy, skupione przy sobie, kryte tak, że strzechy dotykały jedna drugiej. Przy każdym domu był sad z jabłonią, gruszą, śliwkami itp. oraz ogródki warzywno-kwiatowe. Gdy przyszła wiosna, to cała wieś była potężną doniczką różnokolorowych kwiatów. Jesień natomiast swymi kolorami i odcieniami przypominała ogromną barwną tęczę. Nad rzeką Berezówka rosły dziesiątki wierzb płaczących, a obok wiła się dróżka do pieszych spacerów. Od wschodniej strony aż do naszej kolonii przez mniej więcej trzy kilometry ciągnęły się rozległe łąki i torfowiska, na których pasły się stada bydła, czy też stały stogi siana oraz kopce suszącego się torfu, służącego na opał. Piękno naszej okolicy, z jej różnorodnością – to żywy obraz dla malarza.

Harmonia życia wsi Dmytrów i naszych kolonii nigdy nie była zakłócana. Razem chodziliśmy do jednej szkoły, religii uczyli katolicy księża i prawosławni popi, a jeśli któryś nie mógł być na lekcji, to połączone dzieci z klas uczyły się religii pod opieką księdza albo popa. Zdawało się, że wszyscy dbają o to, aby dobrze gospodarować i zbierać plony pracy rąk. Pomagano sobie wzajemnie przy pracach w polu w czasie żniw, sianokosów czy wykopków ziemniaków.

Ten spokojny tryb życia został zakłócony wybuchem II wojny światowej. Najazd Niemców na Polskę – 1 września 1939 roku, a następnie Rosji sowieckiej i ich okupacja była początkiem tragedii kolonistów, osadników, nauczycieli, leśniczych, żandarmerii oraz inteligencji polskiej zamieszkującej wschodnią Małopolskę, okupowaną przez bolszewików. Nacjonałści ukraińscy i różna szumowina zaczęli masowo występować przeciw polskiej ludności. W listopadzie 1939 roku na kolonii Strachów Ukraińcy wymordowali dwie rodziny kolonistów. Biedota (żłodzieje i różni przestępcy) otrzymali władzę od okupanta bolszewickiego. Potworzyli milicję, otrzymali broń i w biały dzień zaczęli rabować i pacyfikować kolonistów na naszym terenie. W pierwszym tygodniu grudnia 1939 roku Ukraińcy wraz z biedotą napadli na nasze kolonie – Terpin i Dębinę, rabując bydło, trzodę chlewną, zboże, kury, a nawet obuwie. Naszej rodzinie zabrano dwie krowy, trzy paśne świny, ponad pięćdziesiąt kur, odzież i część pościeli. Nacjonałści zapowiedzieli, że „to nie koniec i przyjdą rozprawić się z Lachami, bo my już dość nacieszyli się życiem na ich ziemi”. Kolonia nasza zaczęła się organizować i prowadzić 24-godzinną wartę wokół zabudowań. Złożony meldunek do NKWD nic nie pomógł w tej sprawie, mimo obietnic. Wszyscy Polacy żyli w nieustannym strachu o swoje życie i mienie, z niepokojem oczekując następnego dnia. Święta Bożego Narodzenia 1939 roku przeszły spokojnie, bez wypadków. Niedługo potem na stacji kolejowej w Chołojowie zauważono długi rząd wagonów towarowych z kratami w oknach i piecykami w środku. Zastanawialiśmy się, dla kogo są przeznaczone gdyż posiadały dwa rzędy przycz.

10 lutego 1940 roku o godzinie czwartej rano kolonia nasza została otoczona przez żołdatów NKWD i Ukraińców. Gdy zaczęli dobijać się do drzwi, ojciec otworzył nasz dom. Wówczas żołdat z bagnetem na karabinie i dwóch Ukraińców wpadło do mieszkania, rozpoczynając rewizję (nazwiska Ukraińców – Wasyl Kucuper i Mikołaj Strilkow). Ojca trzymali pod bagnetem i bronią gotową do strzału, Wyrwana ze snu rodzina nie wiedziała, co począć. Powstał wielki płacz dzieci, których było ośmioro, gdyż najstarsze, brat Józef, było u kuzynów. Najmłodsza siostra Rozalia miała wówczas osiem miesięcy.

Enkawudzista ogłosił zarządzenie „Wierchownoho Sowieta”, że „mamy tylko 40 minut na ubranie się, spakowanie rzeczy i opuszczenie domu”. Mama Zofia, słysząc to, zemdląła, a ojcu nie pozwolono się ruszyć. Najstarsza siostra Anna cuciła mamę i ubierała młodsze rodzeństwo. Czas uciekał. Brat Janek pakował rzeczy osobiste rodziny, a Ukraińcy kontrolowali, co bierze, i dużo rzeczy osobistych nie pozwolili zabrać.

Gdy brat udał się do spichlerza po żywność, Ukraińcy odważyli 50 kg mąki i 25 kg kaszy jęczmiennej, przeznaczonej na paszę dla prosiąt, chociaż mąki było około 300 kg, a także większe ilości kasz, to Ukraińcy nie pozwolili wziąć. Dziewięcioletni brat Wojtuś niezauważony przez Ukraińców wbiegł do kurnika i zadusił 25 kur, wrzucił je do worka, a następnie na przygotowane sanie. Mieliśmy w domu tylko pół bochenka chleba, bo właśnie w tym dniu (sobota) miał być pieczony świeży. I to było wszystko, co pozwolono zabrać naszej licznej rodzinie. Po upływie 40 minut żołnierz zakomenderował: – „Wychadi wremia proszło!” Mama Zofia nie zdążyła się ubrać i w nocnej koszuli, ubrana w płaszcz, musiała wychodzić. Mróz był bardzo silny, dochodził do 30 st. poniżej zera. Po załadowaniu rodziny i dobytku na dwie pary sań, dołączono nas do kolumny rodzin sąsiadów, tak jak my wyrzuconych ze swoich domów. Zewsząd słychać było rozpaczliwy płacz dzieci, a także nieustanne wycie psów z naszej kolonii.

Kiedy kolumna sań ruszyła otoczona żołnierzami na koniach, prowadzono nas nie wprost na stację Chołojów w prostej drodze 3 km, lecz jechaliśmy w kierunku wsi Dmytrów okrężną drogą 10 km. Mimo wczesnych godzin rannych, wzdłuż drogi po obu stronach stali Ukraińcy młodzi i starzy, urągając: – „Czas na was, Lachy!” Inni kiwali rękoma na pożegnanie, większość jednak milczała. Po drodze dołączyły do nas kolumny z Bełzowa i Strachowa, naszych kolonistów, nauczycieli z naszej szkoły w Dmytrowie oraz leśniczych (dwie rodziny). Gdy jechaliśmy przez miasto Chołojów, ludność zęgną nas łzami, jedynie Żydzi z czerwonymi opaskami na rękawach, uśmiechali się szyderczo do żołnierzy. Gdy przybyliśmy na stację, część wagonów była zajęta i załadowana. Do wagonu 25 TW załadowano 42 osoby wraz z bagażami. Tłok był niesamowity. W wagonie znajdowało się 18 dzieci do lat 12, w tym troje niemowląt, 6 dziewcząt, 7 kawalerów oraz rodzice w wieku około 50 lat.

Wagon – drzwi odsuwane na zewnątrz – piecyk żelazny 2-fajerkowy, okna okratowane bez osłon, otwór – ubikacja, prycza górna – prycza górna, prycza dolna – prycza dolna. Dzieci zamrożone w drodze ułożono w pierzynach na górnych pryczach. Na pryczach nie było żadnego pośłania, jedynie deski. Jeśli zważymy, że mróz sięgał 30 st. poniżej zera, to mamy obraz tragedii rodzin wyrzuconych z własnych domów, bez żywności. Dzieci były tak zamrożone i wyczerpane płaczem, że ledwo dawały znaki życia kwileniem. Tuliły

się wzajemnie, nie dając się odłączyć od matek. Ich oczy przejęte grozą i strachem to niezapomniane wrażenie. Boże, pożałuj się nad tymi biednymi dziećmi twymi, którym wyznaczyłeś krzyż cierpienia, tułaczki, nędzy i głodu!

W wagonie było bardzo zimno, gdyż był nieszczelny i z otwartymi oknami. Na stacji udało się ukraść trzy podkłady kolejowe, które natychmiast pocięto i ukryto pod dolną pryczą, by żołnierze nie zauważyli, bowiem w przeciwnym wypadku winni kradzieży natychmiast byliby sądzeni jako sabotażyści. Równocześnie udało się zdobyć trochę węgla i to umożliwiło rozpalenie piecyka. Mróz połączony z wiatrem wciskał się wszystkimi szczelinami wagonu, zwłaszcza przez cztery okna bez szyb, zakratowane.

Dla organizacji życia w nowych warunkach, po krótkiej naradzie wybrano kierownika wagonu, którym został oficer rezerwy Wojska Polskiego, a zarazem leśniczy w Lasach Państwowych na naszym terenie – Michał Kłopotyński. Posiadał liczną, 12-osobową rodzinę. Na zastępcę wybrano mojego ojca, Wojciecha Laska. Do ich obowiązków należało utrzymanie porządku w wagonie i występowanie w imieniu wszystkich do władz sowieckich o zaopatrzenie w żywność, wodę i opał.

Po rozlokowaniu dzieci na górnych pryczach, starsi w miarę możliwości zabezpieczyli okna workami i kawałkami desek, które udało się zdobyć na stacji. Płacz dzieci zmarzniętych, przeziębionych, kaszlących i głodnych przejmował grozą. Płacz ten słyszeć było na całej stacji kolejowej. Nie pomagały zabiegi matek tulących biedactwa do swych piersi. Przez trzy dni dowożono wysiedlone rodziny i samotnych z transportu. W drugim dniu (niedziela, 11 lutego 1940 roku), gdy ojciec udał się po wodę, spotkał szewca, Ukraińca, u którego naprawialiśmy buty i czasami ojciec zatrudniał go przy pracach polowych. Nazywał się Mikołaj Krzywoj. Człowiek ten przyniósł 10-litrową konewkę mleka i cztery bochenki chleba. Inny mieszkaniec Ochladew – Jakub Kielerman, przyniósł kilka bochenków chleba, słoninę, kilka kilogramów mięsa oraz kilka litrów mleka i śmietany, wyrażając się ze smutkiem, że to „dzieciom na pokrzepienie”. Ojciec, Wojciech, ze łzami w oczach dziękował za ten ludzki gest. W wagonie natychmiast nakarmiono najmłodsze dzieci. Kierownik zarządził wspólne gotowanie na trzy rodziny z braku miejsca na piecyku, który miał tylko dwie fajerki.

W trzecim dniu dołączył do nas brat, Józef, który podczas wywózki był u krewnych. Dowiedziawszy się o tragedii, przyjechał, by dzielić los wspólnie z rodziną. Też nocy transport ruszył w kierunku na wschód, z czego wywnioskowaliśmy, że wywożą nas do Rosji. Wszystkie wagony były zamknięte z zewnątrz i pilnowane przez konwojentów transportu, którzy z bronią w rękę śledzili nas z wieżyczek.

W nocy dojechaliśmy na punkt graniczny do Bronowic, żegnając ojczystą ziemię. W Bronowicach na stacji spotkaliśmy kilka innych transportów ludzi wysiedlonych w tym samym czasie jak my z województwa tarnopolskiego. Na stacji zaopatrzone nas w wiadro zupy na 10 osób oraz porcje 20 dkg chleba na osobę i gotowaną wodę (*kipiatok*). Ciągłe słyszeć było nawoływania żołdatów: – „Odkryli!” – co oznacza otwierać, i – „Zakryli!” – zamykać. Na ten głos otwierano drzwi wagonu i wychodzili wyznaczeni przesiedleńcy po wodę i prowiant pod eskortą żołnierzy. Następnie, po powrocie do wagonu, zamykano wagony od zewnątrz. W wagonach było tak ciasno, że brakowało miejsca do wypoczynku dla wszystkich.

Starsi spali na zmianę, gdy jedni odpoczywali, to drudzy stali lub siedzieli na podłodze środka wagonu. Stale zmarznięte nogi cierpiały, gdyż nie było gdzie ich ogrzać. Starsi, zwłaszcza młodzież, mieli kłopot z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Ubikację stanowiła dziura w podłodze wagonu. Z początku, gdy jedna osoba szła za swoją potrzebą, to druga zasłaniała ją kocem. Gdy nadeszły choroby połączone z rozwolnieniem, tak że łało się z ludzi, wtedy nikt nie zważał na obecność innych, tylko aby dojść do otworu. Zmarznięte odchody trzeba było zdrapywać i usuwać otworem, co powodowało fetor w całym wagonie.

Dzieci zaczęły chorować na koklusz i gripę, kaszląc nieustannie. Do tego dochodziły bóle brzucha i biegunka. Niemycie się i brud kału ludzkiego spowodowało rozmnożenie się robactwa, wszy, które wszystkim dokuczały. Wiele dzieci zmarło z przeziębienia i chorób, nigdy nie zbadane przez lekarza. Transport nasz jechał nieraz przez cały dzień, przystając jedynie po uzupełnieniu węgla i wody. Mijaliśmy miasta i osiedla, wszędzie widać było nędzę. Mężczyźni i kobiety ubrani byli jednakowo: w watowane spodnie i kurtki, a na nogach *walonki* (fabrycznie ubita wełna owcza na formie), z kaloszami, niektóre bardzo zniszczone. Na głowach czapki z nausznikami (*papachy*), twarze wynędzniałe.

Na stacjach kolejowych potężne portrety Lenina i Stalina oraz transparenty z hasłami rewolucji i raju sowieckiego. Tak, po 23 dniach podróży w oblodzonych ścianach wagonu i temperaturze poniżej 30 st., dotarliśmy do ostatniej stacji kolejowej: Kotłas, obwód archangielski. Po sześciu godzinach postoju w zamkniętych wagonach, naczelnik transportu NKWD rozkazał wyładowywać się do przygotowywanych baraków, które służyły wcześniej dla transportowanych na zesłanie różnych przestępców i wrogów Związku Sowieckiego.

Tu rozdzielono nas do różnych obozów rozrzuconych na dalekiej północy Rosji, rozłączając rodziny, ludzi z jednej miejscowości, a także jadących razem w wagonach. Naszą rodzinę skierowano do obozu Permogor (Zapad), 185 km za Krasnoborskiem, na północ nad rzeką Dwiną, która wpada do Morza Białego w mieście portowym Archangielsk. Wraz z nami z transportu przydzielono ponad 120 osób. Mimo czujności konwoju udało się, że wraz z nami przydział do obozu otrzymała rodzina z naszej kolonii Jana Krawczyka, z dziesięciorgiem dzieci, a także przyjaciele naszej rodziny. Podjechały jednokonne sanki.

Nam przydzielono dwie pary sanek. Gdy mama, Zofia, rozpaczła, gdzie pomieści dzieci i skromny bagaż, enkawudzista odrzekł: – „Siadaj i odjeżdżaj, bo was rozdzielę” – ciebie tu, a męża do drugiego obozu, jak będziesz się buntować.

Załadowano młodsze rodzeństwo i mamę. Okryto, czym się dało, a ojciec i bracia przywiązali się sznurkami, aby się nie pogubić. Odległość 185 km z Kotłasa do Permogor przebyliśmy w ciągu czterech i pół dnia. My starsi musieliśmy iść pieszo: ojciec Wojciech, bracia – Józef i Jan, siostra Anna i ja – Stanisław. Po 40 km dziennie szliśmy przy 40 st. mrozu. Nie mając odpowiedniego ubrania ani obuwia, już w pierwszym dniu ja i siostra Anna odmroziliśmy sobie twarze, a siostra też nogi. W czasie drogi, gdy szliśmy dość szybko, to mróz zatykał oddech w piersiach.

Pierwszy postój w Czajni, która składała się z dużej izby z piecem przy jednej ścianie. Na piecu spali gospodarze Czajni. Nam rzucono wiązkę słomy w rogu izby. Furmani (*woszczyki*) mieli przygotowane spanie w drugim rogu izby. Tu dano nam herbaty (*czaju*), zupę rybną i po 300 gramów chleba.

Pragnę zaznaczyć, iż cały czas jechaliśmy korytem rzeki Dwiny. Forman oświadczył, że następnego dnia rano wyruszamy w dalszą drogę. Ojciec, który znał język rosyjski z okresu niewoli w czasie I wojny światowej, zapytał gospodarza, gdzie można kupić mleka dzieciom. Ten, po namyśle, odpowiedział, że wie, ale mleko jest drogie. Ojciec wziął sukienkę siostry i pokazał. Gospodarz odrzekł, że za tę sukienkę dostanie trzy litry mleka. Co było robić – ojciec wyraził zgodę. Gdy dzieci dostały po kubku mleka, natychmiast zasnęły. Ja z siostrą leczyliśmy odmrożone twarze i nogi. Ojciec doradził, aby dla ochrony twarzy użyć pończoch. Wycięliśmy w pończochach otwory na oczy i usta, zakładając je na twarz. Przez cały czas służyły nam, chroniąc twarz od dalszych odmrożeń.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą podróż. Po godzinie drogi zamarznąłą rzeką Dwiną napotkała nas śnieżna burza, co o mało nie zakończyło się tragedią. Kolejny drogi zostały zasypane, a powstałe zasy trudniały poruszanie się. Konie i sanki grzęzły w śniegu, trzeba było pomagać wyciągać sanie. Wiatr ze śniegiem wdzierał się we wszystkie szparki ubrania, opanował nas niesamowity chłód i ziąb oraz senność z wyczerpania. Trzymaliśmy się sznura blisko siebie, aby nie zgubić się w szalejącej zamieci.

Wszyscy modliliśmy się, prosząc Boga o ocalenie. Po 2-3 godzinach zamieć ustała. Konie były tak zmęczone, że ledwie się ruszały. Furmani zażądali, by wysadzić z sań dzieci. My zaś, prosząc nade wszystko, aby dzieci zostały w saniach, zobowiązaliśmy się pomagać ciągnąć sanie, chociaż byliśmy u kresu wytrzymałości.

Z obu stron konia przytroczonymi sznurami pomagaliśmy ciągnąć sanie. Tak dobrnęliśmy do następnej Czajni późnym wieczorem. Znow to samo – zupa rybna [*ucha*], herbata, łyżka kaszy i 300 gramów chleba, który był jak bryła gliny z opieczoną skorupą. Wszyscy byli krańcowo wyczerpani i pragnęli snu. Jednak nie było nam dane spać spokojnie, gdyż do wszy, które bardzo dokuczały, dołączyła jeszcze szarańcza pluskiew, które gryzły niemiłosiernie. Młodsze rodzeństwo zaczęło płakać i nie można go było uspokoić. Gospodarz Czajni, gdy dowiedział się, co jest przyczyną płaczu dzieci, powiedział: – „U nas wszędzie jest ich dużo i wy też się przyzwyczajcie!”

Dalsza podróż odbywała się dość spokojnie. W piątym dniu około południa zauważyliśmy dużą wieś. Furman oświadczył, że to Permogor – wieś. My mieliśmy zamieszkać po drugiej stronie rzeki w osiedlu dla osób skazanych. Woźnica wskazał nam obóz. Były to stare baraki służące zesłańcom i skazanym, którzy buntowali się przeciwko władzy carskiej i sowieckiej. Po przybyciu komendant obozu, Sokołowski, przywitał swych podwładnych, zaś woźnica za pokwitowaniem i przeliczeniem zdał naszą rodzinę.

Sokołowski – to syn polskiego zesłańca, który nie mówił po polsku, ale rozumiał. Przydzielono nam dużą izbę w baraku, gdzie rozmieściliśmy się po dwudziestu sześciu i pół dnia podróży. W obozie było już dużo rodzin z dziećmi oraz osób samotnych. Razem 350 osób. Samotni to nauczyciele, policjanci i żołnierze z centralnej Polski. Wszyscy samotni mieszkali w baraku ogólnym, bez przedzielonych pokoi, samotne kobiety osobno i mężczyźni osobno. Nasze pomieszczenie okazało się za ciasne dla naszej rodziny. Chociaż mieliśmy podwójne łóżka, nie mogli się wszyscy pomieścić i spaliśmy po troje w jednym łóżku. Łoża to drewniane prycze z desek, do których na postanie przydzielono wiązkę żytniej słomy.

Zesłańców i łagierników ratowało to, że tajga obfitowała w jagody i grzyby, a zalew i rzeka w ławice wszelkich ryb. Komendant oświadczył, że będziemy pracować przy wyrębie lasów, wykuwaniu drzewa z lodu, budowie tratw i ich spławie oraz piłowaniu drzewa na opalanie parowozów (okrętów parowych), które będą ciągnęły tratwy do portu w Archangielsku. Natychmiast po rozlokowaniu się nakazano wszystkim pójście do łaźni parowej (*bani*), oddając ubranie do pokoju, gdzie jest wysoka temperatura zabijająca wszelkie robactwo, jak wszy, gnidy (*woszobojka*). W bani kąpią się wszyscy razem, mężczyźni i kobiety, starsi, młodzi, także dzieci. Było to bardzo krępujące, szczególnie dla mojej mamy i starszej siostry, a także młodych dziewcząt, które w tym czasie przywieziono do obozu. Nakaz naczelnika był nieodwołalny: – „Wszyscy urodzili się nago i nago się będą razem kąpać!” Nakaz ten odnosił się do wszystkich łagierników i był surowo przestrzegany.

Dla naszej ochrony przydzielony był komendant i dwóch policjantów NKWD oraz kierownik robót leśnych (wyrębu i wywózki drzew), felczer – dentysta (22-letnia dziewczyna), kucharka, koniuszy (dogładający koni i magazynu). Koniuszy był pochodzenia polskiego, syn zesłanej. Nazywał się Jan Karasiński. Był też *klepilszczyk*, który wyznaczał drzewa do ścięcia według kwalifikacji. On również zapisywał ilość wykonanej pracy przez poszczególne brygady robotników leśnych.

Permogor (Zapad) – to półwysep oblany z trzech stron wodą z rzeki Dwiny. Zaplecze zaś – to nie do przebrnięcia tajga z dziewiczą tundrą, ciągnąca się setkami kilometrów – niezbadana przez człowieka. Dzieci z obozu nie uczęszczały do szkoły, za wyjątkiem dzieci kierownictwa i obsługi oraz donosicieli (szpicli), których było wśród zesłańców kilku. Szkoła mieściła się we wsi Permogor, do której zimą dowożono dzieci saniami, a latem łodzią. Po dwóch dniach od naszego przybycia do obozu, komendant, po przeliczeniu dorosłych (imienni) na zbiorce pomiędzy barakami, powiedział: – „Wy musicie pracować dla Związku Radzieckiego, bo kto nie pracuje – ten nie je!”

Zaczęto organizować brygady, tzw. dziesiątki, z dziesiątnikiem grupy, którego wybierali sami uczestnicy dziesiątki. Ojciec z braćmi i siostrą oraz sąsiad, Krawczyk, z dwójką synów zgłosili się do dziesiątki ojca, a trzeci brat namówił samotnych, tworząc grupę. Przydzielono sprzęt, piły ręczne, siekiery i łomy. Każdej brygadzie wyznaczono z góry normy wykonania pracy przy zrębie drzew i załadunku na sanie. Praca była bardzo ciężka przy wysokiej normie. Mrozy sięgały do 41 st. poniżej zera, ponadto obfite śniegi, w których grzęzło się powyżej pasa. 17-letnią siostrę Annę przydzielono następnie do kręcenia wici (są to wiklinowe gałęzie uplecione na kołowrocie, tworzące koło). Trzeba było umiejętnie wplatać łodygę, aby koło 10 cm nie rozwinęło się. Tak wyglądało koło wiklinowe. Była to bardzo niebezpieczna praca, bo jeśli pret wiklinowy grubości 2,5 cm źle założono, mógł się odbić i poważnie zranić, ewentualnie złamać rękę, a nawet zabić człowieka. Wici te służyły do wiązania tratw drzewnych.

Tratwa składała się z 4-5 warstw drzewa wzdłuż i w poprzek koła wici wiązania wici dolnego kolca drzewnego z górnym. Brygada naszego ojca rozpracowała sposób wykonania normy, który pozwalał na otrzymanie premii w postaci 600 g chleba, zupy i kaszy perłowej, okraszanej oliwą lub suchego

prowiantu, dzięki któremu można było skromnie przeżyć. Ponadto dla wykonujących normę przydzielono walonki i watowane ubranie. Aby przeżyć, wszyscy starali się zrobić jak najwięcej, a zarazem oszukiwać w liczeniu ilości załadowanego drzewa (kloców) oraz zrębu. Techniki tej nauczyli ruscy zesłańcy (żuliki), odbywający długoletnie kary w tym samym obozie. Była to grupa młodych przestępców, którzy nie wahali się przed żadną zbrodnią, wykonując samowolne wyroki na tych, którzy im podpadli, zwłaszcza donosicieli i szpicli tępiłi bez litości. Rozliczenie za pracę odbywało się co dwa tygodnie, na nardzie w świetlicy przez kierownika leśnego w obecności komendanta. Dziesiątka ojca (brygada) za wykonanie normy otrzymała kurtki (kufajka), bruki (spodnie – waciaki) oraz walonki. Przez pierwsze dwa tygodnie, idąc do pracy, owijano buty szmatami i polewano wodą, aby zamarzły, i w takich lodowatych butach pracowano. Poocierane nogi puchły i bolały. Cały czas mróz nie folgował i sięgał 30-40 st. W lesie nie było wiatru i wydawało się, że jest cieplej.

Po kilku dniach komendant przyszedł z kontrolą na teren baraków. Do mamy powiedział: – „Ty musisz pracować!” Mama odpowiedziała, że nie może iść do pracy, bo ma pięcioro małych dzieci, którym trzeba dać co jeść i opiekować się nimi, zwłaszcza jednoroczną Rozalią i 3-letnią Stefcia. Słyszając to, powiedziałem: – „Ja pójdę pracować za mamę!” Miałem 15 lat. Komendant przyjął propozycję, przydzielając mnie do drwali. Nasze stanowisko pracy było odległe 3-4 km od obozu, nad brzegiem rzeki Dwiny, gdzie dopływały statki w okresie letnim, zaopatrując się w drzewo opałowe, którym napędzane były parowozy. Drzewo cięto na 1-metrowe kłocę, układając je w sągi. Norma dzienna wynosiła 2 sągi. Była to bardzo ciężka praca. Samemu trzeba było naostrzyć piłę i siekiere, zaś o pilniki do ostrzenia było bardzo trudno, stałe braki w magazynie.

Za wykonywaną pracę otrzymywałem 600 g chleba, zupę i łyżkę kaszy perłowej. Nie mając obuwia, owijałem nogi szmatami i łykiem z kory łożyny i brzozy. Na partnera przydzielono mi starszego zesłańca, który był nauczycielem w Polsce – Leona Łosińskiego spod Sanoka. Był bardzo wyczerpany i schorowany, z wielkim trudem ciągnął piłę. Tak męczyliśmy się przez 6 tygodni, do chwili jego zachorowania na grypę, którą z kolei przeziębził i po kilku dniach zmarł. Zmieniono mi pracę, przydzielając do wożenia saniami drzewa w zaprzęgu jednokonnym.

Mój Kary był bardzo chudy i słaby, tak że zaledwie kilka drzew długich 12-14 mb można było ułożyć. Sanie szły torowiskiem ubitym i oblanym wodą, bardzo śliskim. Jeżeli załadowane sanie ruszyły z miejsca, trzeba było tylko umiejętnie kierować koniem, to wszystko poszło dobrze. Droga do składnicy drzewa była odległa 500-2000 m. Sztuki powożenia saniami nauczył mnie Siergiej, syn koniuszego (stajennego).

Nocą podkradałem siano dla mojego Karego, aby go odżywić. Po kilku tygodniach miałem dobre efekty. Koń się poprawił, a ja zacząłem wyrabiać normę wywózki, a tym samym powiększył się mój *pajok* chleba i produktów żywnościowych, które przynosiłem do domu.

Praca trwała przez siedem dni w tygodniu, po 10 godzin dziennie, nie licząc dojazdu do pracy i powrotu. Tak pracowałem do maja 1940 roku. Około 20 maja lody spłynęły z rzeki, która szeroko rozlała swe koryto, podchodząc pod baraki zlokalizowane na dość wysokim wzniesieniu. Nastąpiła zmiana pracy wszystkich zesłańców – spław drewna i zbijanie tratw.



Z nastaniem ciepła przyleciała szarańcza komarów, które gryzły bezlitośnie. Ludzie zaczęli chorować na malarię. Chory trząsał się z zimna, a gorączka dochodziła do 40 st. Wówczas zaczęto dawać nam tabletki chininy. Bardzo dużo osób zmarło na malarię i z wycieńczenia organizmu. Zmarłych chowano za ogrodzeniem obozu, bez trumien, i nie wolno było stawiać krzyży.

Komary i pluskwy w naszym łagrze – to największe utrapienie zesłańców. Dzieci były owrzodzone, całe w strupach od ukąszeń pluskiew i komarów. Nie było sposobu pozbycia się ich, co powodowało liczne zakażenia, silne gorączki, doprowadzające do zgonu. Ludzie z wycieńczenia dostawali kurzej ślepoty. Na tę chorobę zachorowałem też ja i moi bracia. Najlepszym lekarstwem w naszych warunkach był rybi tran i wątroba. Kto mógł i gdzie się dało – łapano ptaki, nawet wrony, i gotowano. Brat Józef zdobył psa naczelnika, którego po kryjomu zjedliśmy. Ryb w rzece i zalewach nie brakowało. Do łowienia upleliśmy kosze wiklinowe.

W tajdze od wczesnej wiosny pojawiły się jagody (*klukwa*), kształtem przypominające czerwone porzeczki. Nasze młodsze rodzeństwo nauczyło się zbierać je, a brat Wojtuś był specjalistą od łowienia ryb, przynosząc dziennie po kilkanaście sztuk. Dostatek pożywienia z ryb spowodował ustąpienie choroby – ślepoty. Mama nauczyła się suszyć ryby, a także marynować. Również marynowano jagody, chociaż brakowało naczyń. Już w lipcu pokazały się grzyby, które zbierano i suszono na zimę.

Chodzenie w głąb tajgi groziło niebezpieczeństwem ze strony drapieżnych zwierząt, takich jak wilki, niedźwiedzie, rysie. Zdarzały się wypadki, że wilki napadały na ludzi. Wolny czas spędzano na łataniu odzieży i obuwia. Boso nie można było chodzić dla własnego bezpieczeństwa. Wymyślano różne łapcie z kory i z włókna wierzby do ochrony stóp.

Naczelnik stale podsłuchiwał wśród zesłańców, co myślą, o co się modlą itp. Młodszy mieli obowiązek uczestniczenia w zajęciach w świetlicy, gdzie na powitanie na skrzypiącym gramofonie grano pieśń *Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany, Polszu i polskij narod*, którą musieliśmy wysłuchiwać. Wreszcie jeden z zesłańców zlitował się i płytę zniszczył. Ileż było przesłuchań i dochodzeń, jednak sprawa się nie wydała. Z zemsty naczelnik wraz z enkawudzistami przeprowadzili rewizję w barakach, zabierając książeczki do nabożeństwa, różańce, krzyżyki, obrazki świętych, powiadając: – *U nas Boha niet i On nie nužen, eta stara wasza prywyczka. Ja skazał nielzia i wsio!*

Posiadaliśmy katechizm i Biblię szkolną, z której mama uczyła młodsze dzieci naszej wiary świętej oraz zasad jej wyznawania. Pewnego razu naczelnik niepostrzeżenie wszedł do mieszkania, gdy mama modliła się z książką do nabożeństwa. Zabrał książeczkę i zlecił, by mama stawiała się za pół godziny w komendanturze. Po przybyciu przesłuchiowano ją ponad godzinę, wmawiając buntowanie się przeciwko władzy sowieckiej i jej zarządzeniom. Przez trzy dni, w różnych godzinach, mama wzywana była do komendantury i przesłuchiwana w obecności szpicla – tłumacza.

Naczelnik miał dwie dorosłe córki i samotną felczerkę. Dziewczęta te przychodziły do klubu, gdzie brat, Józek, wygrywał na swojej harmonijce różne piosenki i melodie do tańca. Tańczyły z ruskimi chłopcami. Umiejętność gry pomogła bratu, gdyż córka naczelnika, prowadząca księgi, dopisywała wyko-

nywanie norm pracy przez poszczególne brygady robocze. Brat poprosił ją, aby zabrała z biura książeczkę mojej mamy. Zgodziła się i przyniosła bratu tę książeczkę, zaklinając, aby jej nie zdradził.

Gdy naczelnik spostrzegł brak zarekwirowanej książeczki, przewrócił cały obóz w trakcie szczegółowych rewizji, o czym wcześniej córka naczelnika ostrzegła brata, a on wszystkich innych. Ponieważ rewizja nie dała rezultatu, padło podejrzenie na donosiciela, który był w kancelarii naczelnika. Natychmiast aresztowano i wywieziono go z obozu pod eskortą. Tak zakończył pracę jeden z donosicieli. Drugiemu ukręcili głowę rosyjscy łagiernicy. Ciało jego znaleziono w rzece. Stwierdzono: utopił się. To zdarzenie odstraszyło wielu szpicli i donosicieli na długi czas.

Tak minęło lato i jesień 1940 roku i przyszła znów sroga zima. Już wrzesień pokrył nasz łagier śniegiem, a rzekę chwyciły lody. Znów praca w lesie przy zrębie drzew, wykuwaniu drzewa (kloców) z lodu i śniegu i zwożenie do tzw. magazynów drzewnych. W niektórych zalewach budowano tratwy na lodzie. Drzewo pierwszej klasy przeznaczone było na eksport do Anglii, zaś niższych klas na użytek wewnętrzny oraz na opał dla statków parowych i mieszkańców Archangielska.

Z nastaniem zimy młodsze dzieci zaczęto uczyć w grupach, oczywiście potajemnie, bez wiedzy kierownika obozu. Na spotkaniach rodziców ustalono sposób prowadzenia nauki, tak aby dzieci poznały przynajmniej zasady czytania i pisania. Zwrócono się do naczelnika z prośbą, aby pozwolił uczyć się alfabetu rosyjskiego, na co uzyskano zgodę. I tak zaczęła się podstawowa nauka języka rosyjskiego, a przy okazji podstaw języka polskiego.

**W okresie** świąt Bożego Narodzenia dzieci przygotowywały różne ozdoby na choinkę, łańcuszki ze słomy, pajace ze skorupki jaj. W Permogorze, w kantorze, udało się kupić kilka świec i kolorową bibułę. Wszystko to dokonywano w wielkiej tajemnicy. Wigilia Bożego Narodzenia 1940 roku – pierwsza na zesłaniu na nieludzkiej ziemi, na dalekiej północy. Mama upiekła cieniutkie naleśniki, które zastąpiły opłatek. Z lasu przynieśliśmy piękną choinkę, którą ubraliśmy łańcuszkami ze słomy i kolorowych papierków oraz kilkoma ciastkami upieczonymi przez mamę. Cała rodzina zasiadła przy stole nakrytym białym obrusem. Zaproszono trzy osoby samotne. Po złożeniu życzeń, łamiąc się opłatkiem, wspominaliśmy Wigilię w Polsce, po czym modliliśmy się, by Boża Dziecina ratowała nas w tej biedzie i pozwoliła wrócić do wolnej Ojczyzny: *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!*

Na wieczerną mamę przygotowała zupę grzybową, rybę smażoną, kisiel z jagód i każdemu ciastko. Po kolacji około godziny ósmej wieczorem udaliśmy się wszyscy do klubu, gdzie moi bracia i inni młodzi zesłańcy, także siostra Anna i córki kierownika leśnego zakładu, ubierali choinkę w łańcuszki z kolorowego papieru, zaś na górze umieścili aniołka zrobionego przez nauczycielkę naszego łagru. Zapalono świece. Wkrótce była pełna sala zesłańców z dziećmi. Zaczęto śpiewać kolędy, a łzy płynęły wszystkim z oczu, gdy śpiewano: *Podnieś rączkę Boże Dziecią, zmieniając tekst na: Wróć nam Ojczyznę miłą i wróć nas do Niej! Z braku miejsc w klubie wielu zesłańców stało na zewnątrz, śpiewając kolędy. Przyszła też cała władza obozu, naczelnik, enkawudziści, ale nie interweniowali. Ktoś zanucił kolędy po ukraińsku *Boh Predwicznyj*, którą*

większość ludzi znała z Polski od ludności ukraińskiej. Do północy trwały śpiewy kolęd i pieśni nabożnych. O północy gwiazda polarna zabłysła na niebie w całej swojej krasie. Mówiono: *Ona to wskazuje swymi blaskami miejsce narodzin Dzieciątka Jezus!*

W Nowy Rok 1941 ponownie zebrano się w klubie, gdzie przymusowo wysłuchaliśmy przechwałek na temat władzy sowieckiej i jej wodza – Stalina. Po wysłuchaniu tej mowy otrzymaliśmy po 300 g białego chleba, zupę mięsną i kaszę ze słoniną – dar władzy sowieckiej. Składano sobie życzenia i odśpiewano kilka kolęd, m.in. *Nowy Rok bieży*. Wspominano tych, co zmarli w obozie i już nigdy nie wrócą do Ojczyzny, zapomniani na nieznaną, wrogiej ziemi.

Ta druga zima w obozie była już trochę łżejsza dla zesłańców. W lecie większość zaopatrzyła się w suszone i marynowane grzyby, suszone ryby, jagody oraz nauczyliśmy się łowić ryby spod lodu, a także zakładać sidła na zwierzynę leśną. Wielu mężczyznom udało się schwytać zająca, lisa, kuropatwy, a nawet sarny lub jelenia, oczywiście wszystko w ukryciu. Najgorzej było z odzieżą dla dzieci, był jej całkowity brak. Mama umiała szyć, więc przerabiała ubranie z większych dzieci na mniejsze. Z watowanek dużych szyła małe. Tak też postępowali inni. Mama pomagała innym w szyciu. Pomagano sobie wzajemnie, aby tylko przeżyć ten ciężki okres. Dzieci nadal oficjalnie pozbawione były możliwości nauki. Było tylko potajemne nauczanie przez rodziców. Tak minęła zima 1941 roku przy jednostajnej, ciężkiej pracy leśnej. Wielu zesłańców zabiły różne choroby, gdyż był brak leków i lekarza. Jedyne dostępne środki to aspiryna i chinina, tabletki, które zażywali wszyscy trzy razy dziennie przez cały rok, nie wyłączając dzieci. Malaria to straszna choroba. Chory dostaje bardzo wysokiej gorączki, trzęsie się z zimna w febrze, przy tym nie pomaga żadne okrycie.

W lipcu 1941 roku przyplłynął statek po tratwy drzewne i przywiózł wiadomości i gazetę, z której dowiedzieliśmy się o zawartej umowie pomiędzy Stalinem a gen. Władysławem Sikorskim, dotyczącej tworzenia się Wojska Polskiego na terenie Rosji, oraz że „Polacy są wolni”, co znaczyło, że „nie są łagiernikami, a wolnymi obywatelami.” Osoby, które pragną wstąpić do Wojska Polskiego, komenda obozu ma zwolnić i zaopatrzyć na 3 dni w żywność i dokumenty. Pracowaliśmy, jak pamiętam, przy sortowaniu drewna i układaniu tratew. Zapanowała ogromna radość. Wszyscy śpiewali *Jeszcze Polska nie zginęła!*

Część załogi rzuciła pracę mimo próśb kierownika leśnego przedsiębiorstwa. Z gazetą udali się do naczelnika, donosząc, że za dwa dni opuszczają obóz, kierując się do punktów zbornych, tj. do miejscowości Kujbyszew. Naczelnik tłumaczył: ja nic nie wiem i nie mam żadnych rozporządzeń w tej sprawie! Po długich sporach i kilkakrotnym czytaniu gazet z rozkazem *Wierchownoho Sowieta*, naczelnik zgodził się i przyrzekł: odchodzących wyposażyć w prowiant na trzy dni i rozliczyć zapłaty za pracę. Gazety rozchwytywano i czytano w całym obozie. Wszyscy chcieli zaraz jechać. Młodszy, samotni, w wieku poborowym rejestrowali się w komendzie na wyjazd i opuszczenie obozu. Również moi bracia, Józef z roku 1920 i Jan z 1921, zgłosili się w komendzie na wyjazd. Rodzice nie zabraniali im i natychmiast, zwłaszcza mama, czyniła przygotowania do ich odjazdu. Z jednej strony, panowała radość, a z drugiej strony, smutek i łzy, że znów się rozłączamy.

W trzecim dniu wszyscy byli gotowi. Zebrali się w klubie i tam oficjalnie nastąpiło pożegnanie. Ojciec, Wojciech Lasek, powiedział: idźcie, bo Ojczyzna Was wzywa, niech Pani Najświętsza ma Was w swojej opiece! Wszyscy zaśpiewali *Boże coś Polskę* i ze znakiem krzyża świętego odjeżdżający opuścili obóz Permogor (Zapad). Płacz i łzy towarzyszyły oddalającej się łodzi, aż znikła na horyzoncie. Tak wyjechali pierwsi, wolni łagiernicy w liczbie 12 samotnych mężczyzn, do tworzącego się Wojska Polskiego.

Rodzina nasza pozostała w obozie do końca lipca 1941 roku. Ojciec Wojciech wypowiedział pracę jako brygadzysta, oznajmiając kierownikowi, że wraz z rodziną udaje się do *Krpicznowo Zawodu* (cegielnia) w Krasnoborsku. Komendant robót leśnych prosił, by jeszcze pozostał. Ojciec nie ustąpił i nazajutrz wyjechaliśmy do Krasnoborska, zatrudniając się w cegielni. Spotkaliśmy tam kilka rodzin z naszych kolonii. Praca była ciężka, ale lepiej płatna, a w miasteczku można było w kantorach kupić dla dzieci odzież i żywność, mleko, herbatę, cukier (tylko po 1/2 kg). W cegielni przepracowaliśmy 6 tygodni. W tym czasie mama robiła zapasy sucharów i innych produktów z otrzymywanych przydziałów. Podjęta decyzja, aby zwolnić się z pracy w cegielni i wyjazd w nieznaną z tak liczną rodziną małych dzieci, była wielkim błędem i tragedią. Wolność i możliwość wyrwania się z sowieckiego łagru było przesłanką do podjęcia tej decyzji.

Wyjazd nasz z cegielni nastąpił w pierwszych dniach października 1941 roku. Po załadowaniu się do pociągu, na który czekaliśmy dwie doby na stacji w Kotłasie, ruszyliśmy wraz z wieloma rodzinami polskimi (zesłańcami) oraz samotnymi z różnych łagrów syberyjskich. Kierunek do Kujbyszewa. Tam miał być punkt zborny zarówno dla wojska, jak i osób cywilnych.

Od chwili wejścia do wagonów towarowych przeznaczonych do przewozu ludzi (takich samych jak nas wywozili z Polski w roku 1940) wszy z miejsca nas obiegły, wagony były brudne i zawzione. Pociąg co jakiś czas zatrzymywał się na bocznicach, przepuszczając pociągi z wojskiem i uzbrojeniem. Nikt się nami nie interesował i nie troszczył o nasz los. Na wszystkich stacjach panował niesamowity tłok, pełno żołnierzy rosyjskich, cywilów, uciekinierów, ludności cywilnej z terenów przyfrontowych. Nie zawsze udawało się dostać gotowaną wodę.

Już po kilku dniach podróży zaczęły nas atakować różne choroby: czerwonka, tyfus brzuszny. Tak po ośmiu dniach dojechaliśmy do Kujbyszewa. Z wagonów nie wolno było wychodzić i opuszczać transportu. Przybyli przedstawiciele Polskiej Placówki i dokonali szczegółowych spisów: data i miejsce urodzenia, skąd i kiedy wywieziony, czym się zajmował w Polsce, z jakiej miejscowości przybywa, Oświadczyli, że po tej ewidencji przedstawiciel każdej rodziny uda się po prowiant gotowany. Wszyscy, którzy służyli w wojsku, mieli obowiązek podać stopień wojskowy, formację i miejsce jednostki, gdzie służyli. Obietnica Polskiej Placówki spełniła się, Ojciec z siostrą udali się do stołówki, gdzie otrzymali wiadro zupy z kaszą jęczmienną oraz 10 porcji makaronu ze słoniną, a także herbaty z cukrem. Była to pierwsza w Rosji rodzinna uczta z polskiej kuchni. Otrzymaliśmy również suchy prowiant w ilości 5 kg chleba, paczkę kawy z cykorią i cukrem. Placówka Polska nie pochwałała decyzji o opuszczeniu miejsca pracy i zamieszkania, gdyż na taką masę ludzi nie byli przygotowani i zrobiło się duże zamieszanie, co spowodowało sprzeciw Sowie-

tów, że to łamana jest umowa gen. Sikorskiego ze Stalinem. Zakładano, że będą zgłaszać się tylko młodzi mężczyźni zdolni do służby wojskowej, w wieku 20-55 lat, a nie całe rodziny.

Sytuacja była bardzo poważna. Front i ofensywa wojsk niemieckich szybko posuwała się w głąb Rosji, ewakuacja tysięcy ludzi ze strefy przyfrontowej, których trzeba zabezpieczyć i wyżywić, ponadto transporty wojsk rosyjskich stworzyły wielki chaos i bałagan na stacjach. W takich warunkach transport nasz został skierowany do Samarkandy. Transport poruszał się bardzo powoli i często miał postoje po 10-15 godzin na małych stacjach, gdzie można było dostać tylko gotowaną wodę. Znowu głód i choroby, zwłaszcza tyfus brzuszny i czerwonka (dyszenteria), dziesiątkowały ludzi, a śmierć zbierała obfite żniwo. Ludzie, a zwłaszcza dzieci, padali jak muchy. Największą plagą były wszy, roznoszące zarazki chorób, i brud. Ludzie nie myli się całymi tygodniami i wyglądali jak cienie. Codziennie wynoszono po kilka trupów, następnie ładowano je na wozy, jak śmiecie, i nikt nie wiedział, gdzie bliska osoba z rodziny jest pochowana! Z Kujbyszewa do Farah jechaliśmy ponad dwa tygodnie. Farah to miasteczko położone przy samej granicy Afganistanu i Persji, nad wielką rzeką Amudaria. Młodsze rodzeństwo, wycieńczone, chorowało na tyfus: brat Wojtuś i siostry Marysia, Stefcia i Róża, zaś mama Zofia w ciągłych atakach kamieni żółciowych. Gdy wysiedliśmy w Farah z transportu, przybył lekarz wezwany przez kierownika transportu (oficera przydzielonego w Kujbyszewie). Po zbadaniu rodziny zlecił natychmiastowe przetransportowanie chorych do szpitali. Przebywali tam trzy tygodnie.

Nad brzegiem rzeki Amu-daria rozłożyło się ponad tysiąc osób pod gołym niebem. Kilkanaście osób samotnych, które przybyły wcześniej, zajęło dwa drewniane baraki i tam koczowali na gołej ziemi. Widok był straszny. Ludzie jak widma, jak śmierć: głęboko zapadnięte oczy, szkielet obciągnięty skórą. Idąc, słaniali się na nogach. Wszędzie pełno odchodów ludzkich. Nie można było przejść. Ludzie leżeli prawie nago, łał się z nich kał z krwią. Boże, zlituj się nad naszą nieszczęsną dolą!

Zaczął się grudzień, przynosząc zimne deszcze, nierzadko ze śniegiem, które wykańczały schorowanych ludzi. Nikt nie myślał o przeżyciu, lecz w duchu o śmierci, która nad każdym krążyła i zaglądała w oczy. Młodsze rodzeństwo w szpitalu, ojciec cały owrzodziały (szkorbut), nie mógł się poruszać. Ja, Stanisław, bez przerwy musiałem pilnować dzieci i naszego skromnego bagażu przed złodziejami. Siostra Anna chodziła do odległych kołchozów, by coś kupić z żywności. Ceny niemieszczące się w ludzkiej wyobraźni! Za parę nowych butów można było dostać 5 kg chleba, a raczej placków (*lepioszek*) z mąki pszennej i jeden lub dwa litry mleka. Ani ojciec, ani ja nie spaliliśmy wcale. Trzeba było odwiedzić chorych w szpitalu, pójść do komendantury po przydział chleba. Drzemaliśmy, chodząc jak lunatycy. Człowiek padał i podnosił się, by iść dalej. Pewnego wieczoru ojciec położył się na kufrze, przywiązując go do nogi, ja zaś na skrzyni. Po około 30 minutach ojciec obudził się, bo spod niego złodzieje zabrali kufer! Były tam metryki całej rodziny i różne pamiątki, dokumenty oraz 300 rubli. Kufer odnalazł się wśród samotnych w baraku, ale nie było w nim metryk i innych drobiazgów. Dziwne było to, że złodzieje nie zabrali rubli, chociaż miały dużą wartość. Nie można było uwierzyć i tylko Anioł Stróż uchronił je przed kradzieżą.

Głód i choroby nadal dziesiątkowały ludzi, toteż polskie kierownictwo obozowiska postanowiło ratować resztki nędzarzy i wywieźć ich do Taszkentu czy Czymkentu do kołchozów. Zalecali maksymalny pośpiech, gdyż za kilka dni Sowieci nie dadzą już transportu kolejowego do rozładowania skupiska chorych ludzi na chorobę zakaźną. Granice zostały wzmocnione, aby uniemożliwić ucieczkę do Persji. Rodzeństwo młodsze w szpitalu, a wagony transportowe już zostały podstawione.

W tej sytuacji ojciec zdecydował zabrać dzieci ze szpitala na własną odpowiedzialność. Po załadowaniu transportu ruszył do Turkiestanu. Pięć dni jechaliśmy i na każdym postoju zabierano z wagonów po kilka zmarłych osób. W górach na przystanku kolejowym Sergo, do którego dochodziła również kolejka wąskotorowa, kazano wszystkim wysiąść, czego surowo dopilnowali enkawudziści. Brat Wojtuś w konwulsjach, trzymałem jego główkę na kolanach. Był w agonii. Modliliśmy się o jego śmierć lub wyzdrowienie, gdyż dziecko bardzo cierpiało. To obsługa kolejowa wraz z lekarzem stwierdzili, że zmarł (*użepohyb*) i zostawili go w wagonie. Takich dzieci jak on i starszych było wiele. Podjechała *arba* – wóz dwukołowy zaprzęgnięty w wielbłąda, z dużym koszem, do którego wrzucono zwłoki na kupę i odwieziono w nieznanym kierunku w miejsce pochówku. Tam został mój braciszek – pierwsza ofiara w naszej rodzinie. Byliśmy nieprzytomni z bólu i żalu po stracie małego braciszka. Podjechały wagony wąskotorówki i kazano nam się załadować (wagony to lory do przewozu rudy i drewna).

Ruszyliśmy w dalszą tułaczkę w nieznaną. Płaczu już w wagonach nie było słychać, bo większość ludzi była w gorączce, a ci, co byli zdrowi, pomagali chorym, podawali wodę czy kawałki chleba. Boże, zlituj się nad nami!

Na drugi dzień dojechaliśmy do stacji w Aczi-saju, położonej w górach Kara-Kum. Było to miasto górnicze, kopalnie rudy żelaznej, w której pracowali jeńcy wojenni wykluczeni (przestępcy sowieckiej władzy). Aczi-saj – to ostatnia stacja wąskotorówki. Dalej prowadziła bardzo wąska droga, wśród gór pokrytych słabym drzewostanem, zaś na niektórych wysokich szczytach leżał wieczny śnieg. W transporcie był lekarz – Polak, który przyszedł na prośbę ojca zbadać mamę i siostry. Stwierdził groźny stan u wszystkich chorych. Lekarz nie dysponował lekarstwami za wyjątkiem aspiryny, bandaży, które otrzymał w Polskim Czerwonym Krzyżu. Gdy wysiedliśmy, wskazano nam barak, gdzie mieliśmy się zatrzymać aż do przydziału do kołchozu w rejonie Czułak-kurgan (Czełek-Kur-Han). W tym czasie NKWD znów objęło władzę i nakazano nam podzielić się na dziesiątki grupy i wybrać dziesiątnika, który będzie otrzymywał żywność dla swojej dziesiątki. Ojciec dokooptował do naszej listy trzy osoby, które wyraziły na to zgodę, i poszedł po prowiant. W tym czasie zmarła najmłodsza siostra na rękach półprzytomnej mamy. W ciągu dwóch dni straciliśmy kochane dwie istoty: brata 12-letniego Wojtka i 2,5-letniąsiostrzyczkę – Stefcie. Rozpacz bez granic. Przed śmiercią Stefcia odzyskała przytomność, wycalowała mamę i najstarszą siostrę Annę i ze łzami w oczach oddała ducha. Siostra ubrała ją w białą sukieneczkę i białe pończochy, koronkową chusteczką nakryła główkę. Ja z ojcem odnieśliśmy ją do kostnicy – lepianki (domek z surowej gliny). Tam też leżało już dwóch mężczyzn i dziewczyna ok. 20 lat, w drewnianych skrzyniach (trumnach) z wiekiem. Ojciec udał się do NKWD z prośbą o trumnę

lub deski na jej wykonanie. Odpowiedź brzmiała: Nie i nie będzie, tak pochowaj, bo jej nic nie trzeba! W tej sytuacji ojciec zdecydował, że włoży ciało siostrzyczki do trumny zmarłej dziewczyny. Uczynił to i razem zostały pochowane w jednym grobie, blisko stacji kolei wąskotorowej Sergo – Aczi-saj.

Ojciec ubłagał NKWD, aby zabrali mamę i siostry do szpitala. Przyjechała ciężarówka ZIS, na którą załadowano chore siostry – Franię, Marię, Rozalię oraz mamę, a jako opiekunkę, siostrę Annę. Ojciec dał siostrze kilka rubli oraz chleb, jaki jeszcze mieliśmy. Tak półprzytomni, w silnej gorączce, ja i ojciec pożegnaliśmy ich. Nikt nam nie wskazał, gdzie znajduje się szpital. Łzy, ból i rozpacz wraz z wyczerpaniem zmogły mnie tak, że idąc do stołówki po gotowaną wodę, zatrzymałem się na słupie telefonicznym i na stojąco usnąłem. Jak długo stałem, nie pamiętam. Obudził mnie Kazach, który coś mówił do mnie, ale go nie rozumiałem. Wziął mnie za rękę i poprowadził do swej lepianki, poczęstował plackami i kozim mlekiem. To sprawiło, że znów nabrałem zaufania do ludzi i stwierdziłem, że nie wszyscy wyzbyli się litości. Po powrocie zastałem ojca płaczącego, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Siedząc obydwoj na swych nędznych bagażach, pytaliśmy się wzajemnie: Co dalej? Jaki nas los czeka, czy zobaczymy jeszcze resztę rodziny? Ojciec uznał, że bardzo źle postąpił, wierząc propagandzie i opuszczając miejsce pracy. Tam mogliśmy wszyscy przeżyć. Podejmując tę decyzję wielkiej wagi, wierzył, że uda mu się wyprowadzić rodzinę z tego straszego, obcego i wrogiego kraju.

Kiedy ojciec udał się ponownie do komendy NKWD z pytaniem, gdzie znajduje się szpital, w którym przebywają siostry i mama, otrzymał odpowiedź, że w rejonie Czuzak-kurgan. My zaś zostaliśmy skierowani do kolchozu Bał-Osu-Zu, tegoż rejonu. Postanowiliśmy następnego dnia tam pojechać. Tymczasem, gdy rano poszedłem po gotowaną wodę na herbatę, by rozmoczyć resztki sucharów z chleba, przyjechał *woszczyk* z kolchozu, odebrać nas z komendy, załadowaliśmy bagaże i ruszyliśmy w drogę. Przed odjazdem otrzymaliśmy kartki na jeden bochenek chleba 2-kilogramowy. Kazach, który powoził furmanką, ani słowa nie umiał po rosyjsku, tylko wypowiadał jakieś niezrozumiałe dla nas słowa. Porozumiewaliśmy się na migi i gesty. Wąska droga pomiędzy górami wiła się to w górę, to w dół. Z góry jechaliśmy, zaś pod górę trzeba było iść pieszo, bo konie nie mogły uciągnąć wozu, takie były słabe. Do tego kolchozu w Aczi-saju było 25 km. Po czterech godzinach jazdy przebyliśmy może połowę drogi, gdyż konie ciągle przystawały. Kazach próbował wypręgać i zostawić nas w górach na drodze, sam zaś pojechać do kolchozu po inne konie. Prosił nas, tłumacząc, żeby popaść konie tu, na trawie, a gdy odpoczną i pożywią się, to pojedziemy dalej. Dał się uprosić. Po dwugodzinnej przerwie ruszyliśmy dalej. Na zboczu drogi zauważyliśmy dwa ludzkie trupy. Po ich ubraniu poznaliśmy, że to nasi – Polacy. Czy ludzie ci zmarli śmiercią naturalną, czy zostali zabici – nigdy nie dowiedzieliśmy się. Wreszcie wyjechaliśmy z gór na rozległą równinę. Robił się wieczór, po chwili całkiem ściemniało, a było to kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia 1941 roku. Woźnica pilnował aby konie nie zjechały z drogi, na której znać było tylko koleiny wozów. Reszta wkoło porośnięta była *baszanem* (trawa na stepach Azji).

W dali ujrzeliśmy migocące światelka w kierunku, gdzie jechał nasz woźnica. Okazało się jednak, że to nie kolchoz, a przydrożna *Czajnia*, przystań

dla podróżnych. Była to lepianka (dach – belki pokryte gałęziami i zalane gliną mieszaną ze słomą, otwór w dachu na ulatnianie się dymu, drzwi zasłonięte matą z sierści wielbłąda, na środku lepianki palenisko – dym unosił się otworem w dachu). Tu woźnica zatrzymał się, popił *czaju* z samowara, siedząc w kucki przy ognisku. Rozmawiał, gestykulując i pokazując na nas. Obaj mówili po kazachsku. Nie rozumieli po rosyjsku, co nas niezmiernie zdziwiło, że tak żyją w sowieckim raju. Od Czajni do naszego kołchozu, gdzie otrzymaliśmy przydział, pozostało jeszcze około 4 km.

Ruszyliśmy w dalszą drogę w ciemności nocy. Konie przystawały, chcąc skubnąć *dżusanu*, i tak pomału, krok za krokiem, około północy dobrnęliśmy do kołchozu. Wóz zatrzymał się przed dużą i długą lepianką. Okazało się, że to biura kołchozowe i *selsowietu*. Woźnica wyprzęgnął konie z wozu i wypuścił je w step, a sam poszedł do kubitki (lepianki), wywołał mężczyznę, który łamanym językiem rosyjskim przekazał nam, gdzie jesteśmy i że rano przyjdzie selsowiet i da nam wskazówki naszego postępowania, nasze prawa i obowiązki. Odszedł, a my z ojcem po zmówieniu modlitwy położyliśmy się na wozie, aby odpocząć po męczącej podróży.

Ojciec miał kilka wrzodów (czyraków) na ciele, które mu bardzo dokuczały. W nocy z sąsiedniej kubitki zaczęli wychodzić ludzie za potrzebą. Poznaliśmy, że to Polacy, ale nikt nie odzywał się. Rano w kubitce dały się słyszeć głosy kobiet, radzące, jak ugotować zupę i herbatę, jak zdobyć opał. Wyrwano furtkę z desek, kobieta z siekierą porąbała ją, rzucając kawałki do lepianki. Rozpalili w piecu i ugotowały zupę. My podzieliliśmy się z nimi posiadaną solą. Tak nawiązała się znajomość. Otrzymaliśmy od nich po garnuszku zupy i herbatę. Za te drzwi było trochę kłopotu, dochodzeń, co się stało z drzwiami, ale nikt nie przyznał się i sprawa ucichła.

Ja zostałem przy naszym bagażu, a ojciec poszedł do przedstawiciela kołchozu z prośbą, aby nas odwieziono do rejonu (Czułak-kurgan), gdzie w szpitalu przebywała mama i siostry. Po dłuższej rozmowie i perswazjach przedstawiciel oświadczył: Ty i twoja rodzina ma tutaj przydział, tu będziesz pracował, rozumiesz? Wówczas ojciec poprosił o transport (*arbę*) celem przewiezienia rodziny ze szpitala. Na to również otrzymał odmowę: Nie ma takiego polecenia z rejonu!

Postanowiliśmy, że nazajutrz rano ojciec pójdzie pieszo. Nie znał drogi ani kierunku. Trzeba było znaleźć kogoś, kto wskazałby drogę. Spotkałem młodego Mongoła i wszcząłem z nim rozmowę. Okazało się, że dobrze rozumie po rosyjsku. Zapytałem o drogę do rejonu, a on wskazał, że trzeba kierować się na tę kubitkę, która stoi w stepie i koło niej łączą się dwie drogi, jedna i ta właśnie droga prowadzi do rejonu, po drodze będzie rzeka i kołchoz „Kalinin”. Poprosiłem, aby tę wskazówkę powtórzył ojcu, który wybiera się tam do szpitala. Mongoł podszedł do ojca i opisał mu dokładnie drogę do rejonu. O świcie ojciec pożegnał się ze mną i wyruszył w 30-kilometrową drogę do rejonu. Gdy doszedł do wskazanego kołchozu, około 15 km, ogarnęło go zmęczenie i sen, że musiał chwilę odpocząć. Dalej już droga wiodła prosto. Około godziny 4 po południu ojciec doszedł do miasta powiatowego Czułak-kurgan. Jak na człowieka schorowanego był to nadludzki wysiłek i silna wola, aby przebyć odcinek 30 km bez picia o kawałku chleba z solą. Picie surowej wody groziło wielkim niebezpieczeństwem. Była to łaska i opieka Boża oraz wielka siła i wola życia, przetrwania i nadziei.



Po przybyciu do miasta ojciec natknął się na Polaków, którzy mieszkali w lepiance. Od nich dowiedział się, że jest stołówka i tam można za kartki z NKWD otrzymać zupę i chleb. W stołówce w kolejce za zupą ojciec zauważył moją siostrę Annę, która wraz z mamą i pozostałymi siostrami wyjechała do szpitala. Od niej dowiedział się, że dla chorych Polaków nie ma miejsca w szpitalu i że leżą oni w budynku szkolnym na podłodze, bez opieki lekarskiej i pielęgniarskiej. Jednak, gdy na własne oczy zobaczył chorych leżących na gołych deskach na podłodze, bez przykrycia, wszędzie kał ludzki, straszny fetor, brak powietrza – ogarnęła go trwoga i rozpacz: Boże Wielki – ile człowiek może wytrzymać! Jedni ludzie umierali, a na ich miejsce przywozili następnych. Tego nie da się opisać, gdyż przechodzi wszelkie wyobrażenie. Władza sowiecka świadomie dążyła do wyniszczenia chorych ludzi. Natychmiast postanowiono, aby wyrwać się z tego piekła. Ojciec poszedł do biura rejonowego NKWD, przedstawiając całość sprawy, i prosił o odwiezienie rodziny do kołchozu.

Po wysłuchaniu ojca, naczelnik w rozmowie telefonicznej z kołchozem dowiedział się, że furmanka przyjechała z kołchozu po towar do sklepu, i natychmiast rozkazał przywołanemu woźnicy, by zabrał ze szpitala (czyli szkoły) pięć osób i zawiózł je do kołchozu Bał-Osu-Zu. Po dojechaniu na miejsce przedstawiciel ma zameldować o wykonaniu rozkazu. Woźnica pobiegł po furmankę, po czym zabrano chorych. Ze szczęścia, że znów byli razem, wszyscy płakali, podnosząc się wzajemnie na duchu. Na furmance rozłożono pierzynę i ułożono siostrę i mamę, a ojciec i najstarsza siostra szli pieszo za wozem. Para koni, będąca w ciągłym zaprzęgu, niedokarmiana odpowiednio, nie dawała rady ciągnąć wozu. Po ujechaniu kilku kilometrów woźnica kazał chorym zejść z wozu. Dopiero uwaga ojca: – Czy zna zarządzenie *Rajkoma NKWD*? – pokłoniła woźnicę i sam zszedł z wozu, by ulżyć koniom. Postronki u koni były bardzo słabe i w każdej chwili mogły się zerwać. Ojciec odwiązał z kufra mocny sznur i wymienił, z czego woźnica był bardzo zadowolony. Późną nocą przyjechali wreszcie do kołchozu. Chorych umieszczono tymczasowo w izbie obok biur kołchozowych. Izba ta była przeznaczona dla przyjeżdżających władz sowieckich. Nazajutrz przedstawiciel kołchozu wskazał nam lepiankę, tę samą, z której poprzedniego dnia Polacy spalili drzwi. – „To będzie wasze mieszkanie” – zakomunikował. Były to cztery ściany i dach wylepione gliną, dwa otwory na okna i otwór wejściowy, w dachu dziura na ulatnianie się dymu lub na rurę do pieca. Mieliśmy szczęście, że był tam żelazny piec z dużym otworem na kocioł żelazny. W kotle tym gotowano wszystko, wodę na zupę, herbatę, a nawet pieczono placki.

Ja z najstarszą siostrą Anną przystąpiliśmy do czyszczenia chaty. Wyrzuciliśmy *dżusan* (trawa stepowa), siostra rozrobiła w wiadrze glinę z wodą, zmywając tym glinianą podłogę lepianki. Była to częściowo dezynfekcja oraz zalepianie wszelkich szczelin, w których gromadziło się robactwo. W stepie naciąłem motyką świeżego *dżusanu*, z którego zrobiliśmy pośłanie wzdłuż jednej ściany lepianki, odgradzając surową cegłą przyniesioną z rozwalonej lepianki. Ten zagrodzony kąt służył nam jako łożo dla całej rodziny. Oczywiście żadnych mebli nie mieliśmy, wszystko robiło się na ziemi. Do takiego to domu wprowadziła się nasza chora rodzina dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia, To już drugie Boże Narodzenie na obcej, wrogiej ziemi sowieckiej.

Miejscowa ludność to Kazachy i Uzbeki, którzy mają mowę niezrozumiałą dla nas, wyznający religię mahometańską, za Boga mają Allacha. Starsi ludzie na głowach noszą zawoje (turbany), młodszy zaś *papachy* (czapki ze skóry lisa z ogonem). Wszyscy starsi w spodniach ze skóry baraniej oraz długim kozuchem, przepasanym krajką lub pasem, za którym u każdego nóż (kindżał). Kobiety chodzą w białych długich sukniach oraz cienkich spodniach z cienkiego płótna. Głowy przykrywają dużymi chustkami łącznie z czołem. Mężatki nazywano *maradzia* – żona. Głównym pożywieniem ich jest mięso i ser. Przykładowe śniadanie – herbata w specjalnych porcelanowych miseczkach, placki z mąki pszennej (*lepioszki*) i suszony owczy ser (galki sera suszone na słońcu). Obiad – rosół z mięsa baraniego, końskiego, wielbłądziego lub wołowego. Wieprzowina jest zabroniona. Mięso musi pochodzić z uboju, nie można jeść padliny.

W kołchozie Bał-Osu-Zu było zaledwie kilka młodych osób mówiących po rosyjsku i tylko z nimi można się było porozumieć. Jedną z nich to pisarz kołchozu, który poinformował mnie, że mogę kupić mleko, a także, że jeśli będziemy pracować, to otrzymamy przydział mleka dla dzieci, 1 litr dziennie. Za polską chustkę na głowę wytargowałem 4 litry świeżego mleka i 2 placki (*lepioszki*) o wadze około 1 kg. Jakaż była radość w domu z przyniesionego przeze mnie prowiantu! Na rozcieńczonym mleku siostra ugotowała zacierkę, nakarmiła młodsze rodzeństwo, pomalutku powracające do życia. Wygląd ich przerażał. Szkielety ludzkie, wynędzniałe, słaniające się na nogach. Kazach poinformował mnie, że w kołchozie w lepiankach są też inni Polacy i Żydzi (*Jewreje*) i wskazał miejsca. Udał się tam z ojcem. Odległość około kilometra drogi. W lepiankach żyło 9 rodzin polskich i 5 żydowskich. Każda rodzina straciła po kilka osób. Wśród nich były dwie rodziny leśniczych z Białegostoku oraz rodzina Jana Krawczyka z naszej kolonii. W chwili wywózki na Sybir rodzina ta liczyła 10 osób; została tylko matka i dwóch synów, reszta zmarła w drodze. Najstarszy syn poszedł do wojska razem z moimi braćmi: Józefem i Janem. Tam też dowiedzieliśmy się, że znajoma rodzina Jakuba Buczka, 9-osobowa, zmarła, zaś z rodziny brata Jakuba został tylko ojciec i dwie córki. Pozostali zmarli z wycieńczenia. Ja ucieszyłem się z obecności Mietka Krawczyka, mego 15-letniego kolegi i przyjaciela.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia – najbardziej smutne święta na przełomie 1941 i 1942 roku. Postanowiliśmy je spędzić razem z rodziną Krawczyków w naszej lepiance. Sekretarz kołchozowy przyniósł wiadomość, że zdechła krowa i możemy dostać mięso bezpłatnie. Ojciec przyniósł całą tylną szynkę, około 10 kg. Inni Polacy i Żydzi otrzymali także duże porcje. Mięso rozdali, ponieważ nie wolno im takiego jeść ze względów religijnych. Mieliśmy dobrą ucztę na święta. Kupiliśmy od Kazacha 10 kg mąki pszennej. Wigilia Bożego Narodzenia to skromna kolacja, płacz, wspomnienia. Z naszej 11-osobowej rodziny odszedł brat i siostra. Dwóch starszych braci poszło do wojska i nie wiadomo – czy i gdzie żyją. U Krawczyków jeszcze gorzej, ojciec i siedmioro dzieci zmarło, na Syberii jedno, w drodze czworo i w kołchozie dwójka. I tak w każdej rodzinie łzy, rozpacz i niepewność jutra, nędza i głód. Boże, zlituj się nad nami i nie smagaj biczem śmierci nas, biednych tułaczy Polaków!

Wezwano wszystkich dorosłych Polaków i Żydów do sali *selsowieta* i oznajmiono, że wszyscy zdolni do pracy muszą ją podjąć. *Sowiecki Sajuz* jest zagrożony i potrzebuje dużo chleba dla wojska walczącego z faszyzmem germańskim. Kto będzie pracował, ten będzie miał zapisane *trudodni* przez bryga-

dzistów i będzie otrzymywał mleko i mąkę za przepracowane dni. Kto zaś nie będzie pracował, nic nie dostanie i niech umiera.

Każdego dnia była zbiórka do pracy o 7 rano. Ojciec, siostra Anna i ja stawiliśmy się nazajutrz przed *selsowietem*. Razem z kołchoźnikami (kobiety i mężczyźni) udaliśmy się roznosić ziemię w workach, wysypując ją na pola, gdzie miała być uprawiana bawełna. Było to celowe męczenie ludzi. Wykopywano dziury, zgarniając wierzchnią warstwę próchnicy. Następnie tę martwą ziemię na głębokość ponad 1 metra kopano i rozsypywano na pola uprawne. Koń by się uśmieł!

Pracę doglądał agronom kołchozowy, który mówił po rosyjsku. Ojciec zwrócił mu uwagę, że on, agronom, robi sabotaż, świadomie pomniejszając plony kołchozu przez odrzucanie warstwy próchnicy. Po dyskusji i argumentacji ojca agronom, widocznie przestraszony, udał się do biura i wezwał agronoma rejonowego. Nazajutrz wezwano ojca do kancelarii naczelnika, który był jednocześnie milicjantem NKWD. Tam już czekali przedstawiciele władzy sowieckiej – *Rajispołkomu*, *Rajkomu*, agronom powiatowy, miejscowy *selsowiet* i przedstawiciel kołchozu.

Ojciec, z długą szpakowatą brodą, która dodawała mu powagi, usiadł na wskazanym miejscu i rozpoczęła się narada. Po zadaniu kilkunastu pytań przez agronoma rejonowego i naczelnika NKWD ojciec wytłumaczył wartość ziemi próchnicznej oraz ziemi martwej, nie posiadającej żadnych składników niezbędnych do rozwoju i życia roślin. Dla poparcia argumentów i udowodnienia racji przeprowadzono doświadczenie. W jednym naczyniu napełnionym ziemią z wierzchniej warstwy pola i w drugim naczyniu napełnionym ziemią wydobytą z dołów (którą rozsypywano na pola uprawne) zasiano po kilka odliczonych ziaren pszenicy. Po sześciu dniach nawilżania w naczyniu z próchnicą wzeszło każde ziarenko i roślinka była zielona, zaś w martwicy nie wszystkie ziarenka wzeszły i od razu roślina żółkła, i mimo wilgoci – zaczęła umierać. Znow zebrał się wspomniani już przedstawiciele władzy, pochwalili ojca, że jest dobrym gospodarzem, dbającym o dobro kołchozu. Argumenty ojca spowodowały, że w całym rejonie zaniechano nawożenia pól uprawnych martwą ziemią. Kołchoźnikom ulżyło to w pracy, bo nie dźwigali już worków z ziemią. Nie wiedzieli, komu zawdzięczają tę ulgę. Od tego czasu agronomowie często przyjeżdżali do ojca po porady rolnicze.

Ja zostałem przydzielony do warsztatu napraw sprzętu i maszyn rolniczych. Znajdowały się one w bardzo opłakanym stanie i nie było fachowca, który by się znał na maszynach. Kołchoz posiadał traktory, pługi wieloskibowe, siewniki zbożowe i nawozowe, dwa kombajny, a i prymitywne sochy, jakimi w Polsce posługiwano się w zamierzchłych czasach średniowiecza (socha – rączka do kierowania – dyszel pociągowy – wzmocnienie sochy – nasada z drzewa (pięta) – grot żelazny nasadzany na oprawę drzewną sochy). Socha była ciągnięta przez parę wołów, koni lub wielbłądów.

Kołchoz Bat-Osu-Zu posiadał około 2000 hektarów uprawnej ziemi, bardzo żyznej, i kilka tysięcy hektarów stepu dziewiczego, na którym nie było ani drzew, ani krzewów, tylko stepowa azjatycka trawa *dżusan* i kolczaste krzaki.

Uprawę ziemi prowadzono systemem trójpolówki. W pierwszym sieje się pszenicę czy bawełnę, a przez dwa lata ziemia odpoczywa. Następnie cykl się powtarzał. Poletka pszenicy obejmowały obszar od 50 do 100 hektarów ziemi,

jeden wielki łan. Bawełny zaś nie większe niż 10-15 hektarowe, jednokompleksowe. Wszystkie uprawy są bardzo pracochłonne, gdyż wymagają nawadniania (irygacji). Pole przed orką jest równomiernie zalewane wodą. Po dwóch dniach zostaje zaorane i zasiane pszenicą. Po wejściu roślin i zakorzenieniu się cały łan jest ponownie nawadniany, potem jeszcze raz przed zakwitnięciem pszenicy. Taki sposób pielęgnacji daje gwarancję dobrych zbiorów. Nienawodnienie w wymaganym czasie powoduje wyschnięcie roślin i zmarnowanie całej uprawy. Do uprawy bawełny pole przygotowuje się starannie, tak jak w Polsce przed uprawą buraków. Tworzy się szerokie rzędy i nasypy, na których sieje się bawełnę w odstępach 25-30 cm. Doprowadzona woda sączy się przez cały czas rowkami i nawadnia plantację. Bawełnę sieje się w końcu kwietnia, a zbiór następuje w sierpniu albo i wcześniej. Przed zbiorem bawełny pola wyglądają pięknie. Duże pęki bielutkiej bawełny na każdej roślinie. Ponieważ zbiór ręczny jest czasochłonny, pracę tę wykonują kombajny przystosowane do tego, bardzo szybkie, nie niszcząc przy tym cennych zbiorów. Bawełnę pakuje się do specjalnych worów, po czym wielbłądy przewożą ją do łuszczarni, gdzie maszyny wyłuskują nasiona. Z tych nasion wytłacza się olej, zaś czystą bawełnę odsyła się do fabryki do przeróbki.

Każdy kołchoz ma narzucony plan uprawy i zbiorów bawełny. Niewykonanie planu grozi agronomowi i przewodniczącemu kołchozu karą więzienia, łącznie z oskarżeniem o sabotaż, lub wywózką do łagrów na przymusowe roboty na kilka lub kilkanaście lat. W kołchozach, w latach 1941-1945, karano surowo za najmniejsze przewinienie, takie jak niestawienie się do pracy, nie mówiąc o niewykonaniu planu uprawy – zsyłka na Sybir do łagrów.

W kołchozie Bał-Osu-Zu, poza uprawą pszenicy i bawełny, szeroko była rozwinięta hodowla owiec, w liczbie około tysiąca sztuk, a także hodowla dzikich koni; których było kilka tabunów w liczbie 50-80 koni każdy. Niektóre z nich przez cały swój żywot nie nosiły człowieka na grzbiecie. Większość z nich to araby. W chwili przywiezienia nas do kołchozu załogę stanowili starcy i kobiety. Mężczyzn zabrano do wojska rosyjskiego. Przewodniczącą kołchozu była kobieta, brygadzystkami, traktorzystkami też. Jak wcześniej zaznaczyłem, mechanikiem był stary *babaj*, nieznający się na maszynach. Warsztatu stałego nie było, tylko kuźnia polowa na kółkach i bez przerwy ktoś musiał dymać w miech, by utrzymać żar w palenisku. Jako chłopiec, w drodze do szkoły zawsze przechodziłem obok kuźni, która mnie bardzo interesowała, szczególnie klepanie lemieszki na gorąco, nakładanie obręczy na koła czy podkuwanie koni. Czynności te stale miałem przed oczyma i po kryjomu próbowałem tego fachu w kołchozie. Wiedziałem, że jeśli zdradzę się ze swoimi umiejętnościami, będę musiał wykonywać tę pracę. Miałem na uwadze również to, że złe okucie konia i ochwacenie go, to groźba kary więzienia lub zesłania. Koń był bardziej ceniony niż człowiek. Mówiło się w kołchozie: *Łoszad pamierla* (koń umarł), a *Wasyl padoch* (Wasyl zdechł).

Po kilku dniach naszego pobytu w kołchozie uprosiliśmy Niurę, byśmy mogli przenieść się do lepianki bliżej polskich rodzin. Tam otrzymaliśmy lepiankę z ciekącym dachem i bardzo zniszczoną, ale większą. Szybko uporaliśmy się z przygotowaniem jej do zamieszkania – naprawa dachu i ścian, a ponadto pokryliśmy miejsca białą gliną, wymazaliśmy ściany i sufit naszej lepianki i wyglądała jak pomalowana. Mama, odzyskawszy trochę sił i zdrowia, wymurowała piec

gliniany wraz z kotłem żeliwnym do gotowania. Dzieło to przychodzili oglądać sąsiedzi, a również Kazachy i władze kołchozu. Ojca i siostrę zatrudniono przy produkcji surowej cegły na budowę nowych biur kołchozu i *selsowietu*. Praca ciężka, akordowa, ale nie było możliwości odstąpić od niej. Szczególnie ciężkie było mieszanie gliny ze słomą pociętą na 10-centymetrowe odcinki. Jednak Polak sobie poradzi! Nakopaną glinę ułożyliśmy w dole, na środku wkopaliśmy głęboko słup i przy obrotowej żerdzi wokół słupa zaprzęgliśmy woły, które chodząc w koło, mieszały glinę. Robiliśmy to przeważnie wieczorami, kiedy kołchoźnicy poszli do swych kibitek lub szałasów. Planowano rozpocząć budowę nowego osiedla kołchoźników, magazynów zbożowych itp. Przez kilka tygodni ojciec ze starszą siostrą, a także przy pomocy młodszej siostry Frani, zrobili 25 tysięcy surowych cegieł, które suszyły się na słońcu, a po wyschnięciu stanowiły już materiał budowlany. Co kilka dni przychodził selsowiec sprawdzać robotę. Brygadzysta liczył sztuki zrobionej cegły, która miała wymiary 40x20x15 cm. W taki oto sposób ojciec, Wojciech Lasek, rozpoczął budowę osiedla kołchozowego. Do pracy włączono również inne polskie rodziny.

Rodziny żydowskie, w liczbie pięciu, wymarły w ciągu trzech miesięcy z wycieńczenia. Nie pracowali i nie otrzymywali żadnej żywności. Strach było na nich patrzeć, snujące się kościotrupy powleczone skórą, zbierające trawę do jedzenia. Ojciec namawiał Mojsia, by podjął pracę u niego przy wykonywaniu cegły, to otrzyma przydział jedzenia, ale Żyd odrzekł: – „Nie mogę, nie mam siły, zresztą widzi pan, że to już niedługo!” Tak dobrowolnie sami wydali na siebie wyrok śmierci głodowej.

Wojna coraz bardziej dawała się odczuć. Zboże oddawano dla państwa, tak że brakowało na zasiewy. Kołchoźnikom pozostawał poślad zbożowy. Podobnie było z bydłem, owcami i końmi. Tabuny koni stawały się coraz mniejsze, wszystko szło dla wojska i wojskowych urzędników, którym za transport służyły osiodłane wierzchowce. Zrobiono ze mnie woźnicę dostawcę ropy do traktorów ze stacji Sergo Aczy-saj, odległej o 25 km. Na wozie była zainstalowana 500-litrowa beczka z kranem i wlewem oraz miejsce na smary, towot i oleje. Gdy wcześniej rano wyruszałem w drogę, to około północy wracałem. Co drugi dzień po 18 godzin pracy. Zdarzało się często, że po przyjeździe opróżniałem beczkę, wylewając ropę do zbiorników paliwa. Polubiłem tę pracę, gdyż zawsze udało się przywieźć bochenek chleba od górników za drobne wymiany. Tak upływały nam dni na nieustannej walce o zdobycie pożywienia i utrzymanie jako takiej kondycji do pracy, W kołchozie zaczął się głód. Za przepracowane dniówki (*trudodni*) kołchoz nie miał czym płacić. Polacy dzięki swojemu sprytowi jakoś dawali sobie radę. Kombinowali, jak mogli: a to ktoś ukradł pszenicy przy siewie, to znów nocą naciął kłosów pszenicy, to ukradł owieczkę czy psa – aby tylko przeżyć. Naszą rodzinę władze kołchozu przeniosły do obory dla koni wierzchowych i roboczych. Koniom wydzielano trochę zboża do obroku, a z tego trzeba było i uszczknąć nieco sobie. Skonstruowałem żarna, z których korzystaliśmy my, a także wielu kołchoźników, którzy za zmienie 2 kg pszenicy dawali szklankę mąki. Było to dla nas dużą pomocą.

Ojciec został oficjalnie koniuszym, do niego należało oporządzać konie oraz dbać o ogrodzenie dla bydła i owiec. Ogrodzenie to zabezpieczało zwierzęta nasze przed atakami wilków i innych drapieżników. Duży plac wokół ogro-

dzony 2-metrowym murem i z dwiema bramami całą noc pilnowany był przez nocnych stróży. Do tych zagród zakradały się w nocy wilki, ale na dwóch nogach (Polacy), którzy po zarżnięciu na miejscu owieczkę pakowali do worka i uciekali w step. Tam obierali ze skóry, a łeb i nogi zostawiali na pożarcie hienom i sępom. Po takiej nocnej wyprawie można było zauważyć w stepie stada sępów i hien, czyhających na padlinę, czy też pozostawioną skórę baranią. Kołchozowy pastuch meldował, że wilki porwały owieczkę, po czym odpisywano ją ze stanu stada.

Stepy w swych dziewiczych stanach ukrywały najrozmaitszą zwierzynę, jak sarny, dzikie kozy, wilki, hieny, a w górach niedźwiedzie, tygrysy, węże, jadowite żmije, dużych rozmiarów żółwie itp. Przed pójściem spać należało za każdym razem sprawdzić, czy żmija lub inny gad nie dostał się do lepianki i łoża. Było wiele przypadków śmiertelnych od ukąszenia gada.

W grudniu i styczniu temperatura była znośna, do 20 stopni C gorąca, i w tych miesiącach były opady, a nocą przymrozki, czasem nawet opady śniegu, który po zetknięciu się z porannym słońcem ginął w ciągu 1-2 godzin. Kołchoz był położony na skraju gór Karatau (Czarne Góry), na szczytach których leżały wieczne śniegi i lodowce. One to dostarczały wody do strumieni i rzek, z których czerpano wodę do irygacji – nawadniania pól. W okresie lipca, sierpnia i września temperatura dochodziła do 45 stopni C. Piekło rozgrzanego powietrza zatykało oddech w piersiach, a żar parzył nieprzywykłe do upałów ciało. Kazachowie chodzili w skórzanych spodniach wywróconych wełną na wierzch, a na to kozuch i zawój na głowie. Polacy chodzili bez koszul, spaleni na czarno (młodzi), a starsi w koszulach przemokniętych od potu. Koszule takie przepalały się na słońcu w ciągu dwóch tygodni!

Lato 1942 roku. W kołchozie wzmaga się nacisk na pracę. Wracają z frontu inwalidzi bez ręki, nogi, czasem niewidomi. Ci mniej okaleczeni zajmują kluczowe stanowiska w kołchozie, jak przewodniczący kołchozu, przewodniczący rady wiejskiej, magazynier itp. Jeśli to był *tankista* czy operator czołgu, dostawał przydział do warsztatu. Nowe władze kołchozu trzymały w ryzach całą społeczność kołchozową, stosując surowe kary nawet za najmniejsze wykroczenie, podciągając wszystko pod paragraf sabotaż przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Kary sypały się, łącznie z karą śmierci. Wszystkim bieda coraz bardziej zaglądała do oczu... Nasza rodzina po przeniesieniu się do stajni na uboczu lepianek, za zgodą przewodniczącego kołchozu założyła ogród warzywny – melony, kukurydza, cebula, buraki, ziemniaki i papryka (przysmak kołchoźników). W stajniach była gruba warstwa suchego gnoju, którym użyźniłiśmy nasz ogród, wodę mieliśmy zaś z pobliskiej rzeki. Nasiona warzyw i tytoniu udało się kupić w Aczy-saju, dokąd jeździłem po ropę. Uprawą ogrodu zajmowaliśmy się w wolnych chwilach. Cieszył nas widok wschodzących i pięknie rosnących roślin. Ogrodu trzeba było pilnować przed kozami, osiołkami i bydłem, które chodziło luzem. Plon był obfity i wspaniały. Część jarzyn musieliśmy oddać do kołchozu jako kontyngent, pomimo że nie było o tym mowy przy uzyskiwaniu zezwolenia na uprawę. Najbardziej chodziło o liście tytoniu, którego odczuwało się dotkliwy brak. Ziemniakami musieliśmy się podzielić z przewodniczącym kołchozu i rady wiejskiej. Zbierając płody, owoc naszej pracy, trzeba było wszystko chować z obawy przed odebraniem przez władze kołchozu. Nie pomogły tłumaczenia ojca, że to prywatne, wyhodowane w wol-

nych chwilach. Odpowiedź była krótka: Wszystko do magazynu! Przysłał dwóch kołchoźników do załadowania i odwiezienia plonów do spichrza kołchozowego. Tam łup podzieliły między siebie władze wsi i rejonu, nic nie dając nam w zamian. Całe szczęście, że wcześniej ukryliśmy dobrze część zbiorów.

Zbliżał się pełny rok pracy w kołchozie, rok 1942. W tym czasie zgrupowanie organizowanej Armii Polskiej pod dowództwem gen. Wł. Sikorskiego opuszcza granice Rosji przez Persję i Iran. Na resztkę rozrzuconych polskich rodzin spada kara w postaci rozkazu najwyższej władzy sowieckiej, że każdy Polak od 18 roku życia ma przyjąć obywatelstwo sowieckie. Władze wsi otrzymały rozkaz dostarczenia wszystkich dorosłych Polaków do rejonu Czupłak-kurgan, zaś dzieci miały pozostać w kołchozie. Ojciec wraz z innymi dostał nakaz, by nazajutrz rano wraz z żoną, córką i mną stawić się o 7 rano przed budynkiem *selsowietu*, skąd całą grupą powędruje do rejonu. Przez całą drogę trwała ożywiona dyskusja. Po przybyciu na miejsce w rozmowie z innymi Polakami obojga płci dowiedzieliśmy się, że część oświadcza, iż obywatelstwo przyjmą dla ratowania rodziny przed rozbiciem, inni znów twierdzili, że nieprzyjęcie obywatelstwa rosyjskiego spowoduje skierowanie na wyjazd do Iranu za Wojskiem Polskim. Paszporty miały ważność od 6 miesięcy do 5 lat i każdy decydował, jaki paszport przyjmuje. Propaganda była tak nasilona, że nie można było zorientować się w całej sprawie. Ojciec wezwany do NKWD zażądał pokazania paszportów i deklaracji paszportowych. Zapoznawszy się dokładnie, prosił urzędnika NKWD o odłożenie naszej sprawy do dnia następnego, by omówić ją z rodziną i innymi Polakami.

Polacy, którzy byli wzywani 2-3 razy do NKWD i nie przyjmowali obywatelstwa, byli natychmiast sądzeni i otrzymali wysokie wyroki od 5 do 10 lat łagrow i zesłania, z tym, że męża wywożono do innego obozu, żonę do innej miejscowości, dzieci zaś oddawali do sierocińca. Tam dzieci miały tylko imiona – bez nazwisk. Część tych dzieci pozostawionych bez opieki, brudnych, głodnych, włóczyła się, prosząc o skórkę chleba, grzebiąc w śmietnikach za łupiną z kawona. Był to straszny obraz, trudny do opisanie. Widok tych dzieci krajał serca.

Przypomniał mi się obraz, kiedy cała nasza rodzina dogorywała na tyfus. Ojciec, po długim przemyśleniu, postanowił przyjąć sowieckie paszporty dla siebie i mamy, natomiast nas, mnie i młodsze siostry, wpisał do swego paszportu. Najstarsza siostra, Anna, już pełnoletnia, powiedziała ojcu: Ja nie zdradzę Ojczyzny! Paszportu rosyjskiego nie przyjęła. Tak samo zrobiła Rozalia Krawczyk, pozostawiając dwóch synów w kołchozie. Obie zostały aresztowane i zamknięte, czekały na wyrok. Ja z ojcem wróciłem do kołchozu, przekazując mamie całą prawdę. Mama i młodsze siostry przyjęły tę informację z rozpaczą. Po sześciu dniach na prośbę mamy ojciec udał się znów do rejonu, aby dowiedzieć się o los córki – Anny. Została wraz z sąsiadką Krawczykową skazana na pięć lat zesłania na ciężkie roboty. Ojciec otrzymał zezwolenie na widzenie się. Okazało się, że siostra nie wytrzymała metod śledztwa i postradała zmysły. Nie poznała ojca, krzyczała, drżąc ze strachu. Ojciec znowu prosił naczelnika NKWD o wydanie chorej córki. Po długich pertraktacjach NKWD wyraziło zgodę, bo z umysłowo chorym człowiekiem będą mieli więcej kłopotu, a pożytku żadnego. Ojciec zorganizował transport, wykorzystując samochód ciężarowy jadący do Aczy-saju Sergo na stację, po towary. Samochód musiał zboczyć kilka kilometrów, ale wizja otrzymania tytoniu skłoniła kierowcę do ustępstw.

Tak to ojciec wraz z siostrą wrócili do kołchozu. Siostrze teraz potrzebny był spokój i dobra opieka. Rodzice wykazali duże starania, aby zapewnić jej spokój i ciszę. Zakazano młodszemu rodzeństwu rozmów z siostrą, a broń Boże jakiejś sprzeczki czy głośnych dyskusji. Tak upłynęły cztery tygodnie i widać było stopniową poprawę. Pamiętała, że była bita, rozbierana do naga przez enkawudystów, lecz nie wiedziała za co. Za każdym razem dostawała spazmów i strasznego szloch. Mama tuliła ją do siebie jak małe dziecko, a sama w ukryciu rozpaczała. Dwóch synów sąsiadki Krawczykowej zabrano do sierocińca, a że starszy miał już 17 rok, przydzielono go do FZO w Aczysaju, gdzie pracował w kopalni rudy żelaznej. Kontakt z młodszym został zerwany, a co się stało z matką, nikt nie wie. Ślad po niej zaginął, jak po wielu innych. Na pewno do dnia dzisiejszego żyją dziesiątki byłych dzieci polskich zrusyfikowanych, nie znających swego nazwiska ani pochodzenia.

Tak dobiegł rok 1942. Panuje nadal bieda. Na terenie Rosji sowieckiej tworzy się Związek Patriotów Polskich, zorganizowany przez Wandę Wasilewską. Tworzy się polskie wojsko im. Tadeusza Kościuszki przy boku Armii Czerwonej, na czele którego stanął gen. Berling – 1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Ogłoszono Apel o ochotnicze wstępowanie w szeregi wojska oraz normalna mobilizacja mężczyzn poborowych.

W kołchozie rozliczono nas za pracę w roku 1942, tj. ojca, siostrę Annę i Franciszkę oraz mnie – Stanisława. Za wypracowane *trudodni* otrzymaliśmy 30 kg pośladu pszenicy, 2 owieczki oraz 1 litr mleka, co dzień, co miało wystarczyć na 7-osobową rodzinę! Trzeba było kombinować, kraść, co się dało, aby przetrwać. Wszystko, co nadawało się do jedzenia – psy, osiołki, owieczki – znikają z kołchozów. Ludzie jedli padlinę i różne świństwa, aby tylko zaspokoić głód i żyć dalej. Za lebiodą i lucerną chodzono po kilka kilometrów w step. W kołchozie panowała nędza i głód, przy tym choroby, których nikt nie leczył z powodu braku lekarstw i lekarzy. Plony były coraz gorsze, ponieważ w kołchozie pozostały kobiety, starszanki i powracający inwalidzi wojenni, którzy nie chcieli pracować za darmo. Żywność odsyłano dla wojska. Władza sowiecka prześladowała, zamykając do więzienia za byle przestępstwo. Niewykonanie planu czy nieprzychodzenie do pracy to zdrada Związku Radzieckiego. Kończyło się to zsyłką na ciężkie przymusowe roboty (łagry) wyrokami sądów.

Ludzie żyli w ciągłym strachu – co przyniesie następny dzień? W tym czasie zachorowała na szkorbut siostra Rozalia. Całe ciało miała opuchnięte, w ustach szerniały dziąsła, także gardło. Silna gorączka, spieczone wargi, cała w konwulsjach, traciła przytomność. Znikąd pomocy ani lekarstw. Na dwa dni przed śmiercią odzyskała przytomność i wówczas mieliśmy nadzieję, że wszystko minie i siostra wróci do zdrowia. Powiedziała tylko: – Mamo, proszę, umyj mnie i ubierz, bo jutro umrę. Mama z płaczem wykonała prośbę. Siostra Anna uwiła z gałązek *dżusanu wianuszek* na głowę. Wówczas Różia mówi: – Mamo, prawda, że Staszek wróci jutro, bo czekam na niego. I dodała: – Chyba Bozia, Pan Jezus przyjmie mnie do nieba, gdzie spotkam się z siostrzyczką Stefcią i braciszkiem Wojtusiem! Cała rodzina na klęczkach przy jej łóżku modliła się wraz z nią. Nazajutrz wróciłem z ropą dla kołchozu. Wszedłem do naszej lepianki, a ona usiadła i powiedziała: – Żegnaj Staszku, ja odchodzę! I umarła w pełnej świadomości, żegnając się z całą rodziną. Znowu ogromna



rozpacz nie do opisania. Mama zemdlła i wszyscy z bólem i żalem żegnali już trzecią ofiarę z naszej rodziny. Zmarła na przeklętej ziemi rosyjskiej.

Na wzgórzu przy drodze znajdował się cmentarz kołchoźny, na którym było kilka mogił Polaków, Żydów oraz kołchoźników. Tam wybrałem z ojcem miejsce na wieczny spoczynek ukochanej siostrze Rozalii. Wykopałem głęboki dół, podkopując jedną stronę z boku, aby tam złożyć ciało, gdyż trumny nie było. Gdy składaliśmy Rózię do grobu, przyszło kilku Polaków oraz kołchoźników. Włożyłem ciało owinięte białym prześcieradłem, w sukience, do wnęki grobu, którą obłożyłem płytami z kamieni, a następnie zasypałem grób. Na nim usypałem z ziemi krzyż, okładając kamieniami. Śmierć siostry była dla całej rodziny wielką tragedią. Do mojej świadomości nie mogło dotrzeć, że to dziecko nie żyje. Ta, która wybiegała na moje spotkanie po powrocie z drogi, pytając, co przywiozłem mamusi i dla reszty rodziny. Oddawałem jej chlebak, który całowała i biegła pochwalić się mamie, co przywiozłem. Każdą wolną chwilę spędzałem na grobie siostry. Rozmawiałem z nią i zdawało mi się, że słyszę jej głos. Ostrzegała mnie kilka razy. W Aczysaju udało mi się zdobyć grubą belkę drzewa, z której zrobiłem krzyż i umieściłem na grobie siostrzyczki. Był to jedyny krzyż na cmentarzu. Obawiałem się, że władze kołchozu sprzeciwią się, jednak żadnej reakcji nie było.

Po kilku tygodniach ojciec zachorował – paraliż kręgosłupa, co uczyniło go bezwładnym. Na wspomnienie tych dni jeszcze dziś dostaję dreszczy. Biedny wił się z bólu, leżąc cały czas na brzuchu. Przy naszej pomocy lekko unosił się, aby można było wsunąć nocnik. Płakał i modlił się, by Bóg go zabrał, gdyż cierpienie było zbyt wielkie. Cała rodzina gorąco prosiła Boga o uzdrowienie ojca. Tak przeleżał sześć miesięcy, nie wstając. Trzeba było mu pomóc, tymczasem ani ja, ani siostry nie mogły opuścić ani jednego dnia pracy w kołchozie, by nie narazić się władzy sowieckiej.

Dostałem polecenie od przewodniczącego rady, że mam udać się wraz ze starym Kazachem (*babajem*) do Taszkientu po odbiór lekarstw dla weterynarii rejonu Czulał-kurgan. Droga wiodła przez pustynię Kara-Kum 360 km, ścieżką karawan i wielbłądów. Droga ta była bardzo niebezpieczna, a znali ją tylko starzy Kazachowie sprzed rosyjskiej rewolucji. Otrzymaliśmy dwa najlepsze wielbłądy i wóz, prowiant na siedem dni oraz skórzane worki na wodę, w środku żołądki wielbłąda. W kancelarii rady wiejskiej była mapa, na której był zaznaczony ślad ścieżki karawan przechodzących pustynią Kara-Kum. Znów łyż, pożegnanie i nieznaną drogą. Tak wyruszyłem, by poznać smak pustyni i jej tajemnic.

Po przejechaniu około 60 km skończył się step porośnięty różnymi kolczastymi krzakami i *buszanem*. Dalej były piaski tworzące nierówności terenu. Po przebyciu dalszych około 100 km wśród piasków i wydm napotkaliśmy oazę. Tworzyło ją kilka drzew, zielona trawa i źródło wody. Wokół dało się zauważyć dziesiątki śladów dzikich zwierząt, przychodzących do wodopoju. Zauważyliśmy także ślady ludzkie. Kazach bardzo się przestraszył i zaczął wzywać Allaha. Ja również modliłem się do Matki Najświętszej o opiekę i ocalenie. Żył w tej oazie traper półdziki, w szałasie zrobionym ze skór. Samotny, ubrany w skóry z wilka i lisią czapkę z ogonem, zarośnięty, z długą brodą. Zaklinał się, aby nikomu nie mówić o jego istnieniu i wyglądzie. Miał około 60 lat. Po krótkim odpoczynku, pod ciągłym strachem napaści ze strony traper,

staliśmy się bardzo ostrożni i czujni, gotowi do samoobrony. *Babaj*, mój towarzysz drogi, uzbrojony był w bardzo ostry kindżał. Ja zaś posiadałem siekierkę, żelazny młotek i nóż zrobiony własnoręcznie z kosy. Pomyślałem sobie: „Boże, jakież są Twoje wyroki?!”.  

---

Jakoś szczęśliwie udało się nam wyruszyć w dalszą drogę. Po dwóch dniach podróży pustynią, kierując się położeniem słońca i gwiazd i korzystając z mapy, dojechaliśmy do następnej oazy. Tu stały dwa wojłokowe namioty, w których mieszkało troje dzieci, dwie kobiety i mężczyzna około 55 lat. Bardzo się zdziwili, że udało się nam dojechać do tej oazy. Oaza była podobna do tej poprzednio spotkanej, kilka drzew, dużo zieleni oraz trawy stepowej. Trzeba było dać odpocząć wielbłądom, a i my byliśmy bardzo zmęczeni drogą. Okazało się, że do Taszkientu zostało około 65 km. Przez cały czas modliłem się w duchu do Matki Najświętszej o opiekę nade mną i zachowanie, bym nie umarł na tej pustyni. Mój *babaj* również o wschodzie i zachodzie słońca modlił się do Allaha, kładąc pod nogi kawałek wojłoku, na którym klęcząc, bił pokłony w kierunku wschodzącego czy zachodzącego słońca, wołając „Allah, Allah!”.

Tak oto po ośmiu dniach podróży dotarliśmy do Taszkientu. Po zameldowaniu się w biurze rady miejskiej wielbłądy zostały wyprężone i odstawione do nakarmienia sianem. Poszedłem do bani umyć się po długiej podróży. Wracając, nie mogłem powstrzymać łez, które ciekły mi po twarzy na myśl o przeżyciach i tragedii naszej rodziny na terenie Rosji. Pomyślałem o cierpiącym ojcu i chorej mamie, której dokuczały kamienie żółciowe. „Boże, czy będzie mi dane zobaczyć wszystkich?”

W tym momencie ktoś mnie trąca i pyta: – „Synku, czemu ty płaczesz?” spojrzałem i zobaczyłem człowieka z długą siwą brodą, włosami spadającymi na szyję, na głowie zawój, jednak inaczej ubrany niż miejscowe Kazachy. Ponieważ budził zaufanie, opowiedziałem mu całą tragedię mojej rodziny. O tym, że straciłem brata i dwie siostry, o ojcu sparaliżowanym i mamie w bólach od ataków kamieni żółciowych. Powiedziałem, że w ciągu ośmiu dni przebyłem pustynię Kara-Kum, gdzie tylko wydmy piaskowe i kolczaste rośliny czasem rosną. Ten człowiek wówczas powiedział: – „Masz szczęście, że mnie spotkałeś. Jestem lekarzem. Mam kilka tabletek i dam ci cztery dla twojego ojca. Będziesz mu dawał po jednej dziennie. Po trzech dniach choroba powinna ustąpić, wtedy już czwartej tabletki nie dawaj. Ojciec twój ma zwiotczałe mięśnie i zmuszaj go do chodzenia, pomalutku, stopniowo – zapamiętaj to sobie dobrze!” Dał mi również kilka tabletek dla mamy i odszedł, zanim zdążyłem mu podziękować. Gdy pobiegłem za nim, dziękując, powiedział: – „Nie trzeba” i wmieszał się w tłum przechodniów. Jakaż wielka radość wstąpiła we mnie – śmiałem się i płakałem na przemian z radości, dziękując Bogu za wszystko.

Po dwu dniach postoju otrzymaliśmy kilka skrzyń lekarstw dla zwierząt. Lekarstwa te są w rejonie rozdzielane na poszczególne kołchozy, a część pozostaje w Głównym Ośrodku Weterynarii w Czulał-kurganie. Zapowiedziano nam, że jeśli nie dowieziemy lekarstw, to dostaniemy wyrok śmierci za sabotaż. Kazach powiedział mi: – „Ja stary, to już nie żal, ale ty jesteś młody!” Przez całą drogę modliłem się, by nie spotkała nas na pustyni żadna przygoda, a w szczególności burza piaskowa, bo wtedy byłby już koniec. Tak dzień za dniem wędrowaliśmy drogą powrotną, zaopatrzeni w prowiant.

Na przechyle piaskowej wydmy rozbiła się butla z płynem. Okazało się, że to czysty spirytus. Kazach zdołał uratować 2-3 litry. Zalakowany czubek butelki zabrałem na dowód rzeczowy przy zdawaniu lekarstw. Uratowany spirytus Kazach popijał, aż do zamroczenia, bojąc się, aby inne butelki nie potłukły się. Mieliśmy cztery korce z gąsiorami po dziesięć litrów zalakowanymi oraz mnóstwo różnych mniejszych i większych butelek. Wielbłądy schudły i obawiałem się o ich kondycję, brakowało wody.

Tak dojechaliliśmy do drugiej oazy i pozostało jeszcze do przebycia około 100 km. Znów przez dobę popasaliśmy wielbłądy. Ja cały czas pilnowałem furmanki z lekami, drzemiąc z kijem na wozie i kindżałem w ręce dla własnej obrony. Po przejechaniu pustyni i wjechaniu w step musieliśmy zrobić przerwę w podróży, aby wielbłądy odпочęły, napchały swe worki żywnościowe i uzupełniły zapas wody w swych żołądkach. Mimo pośpiechu powrót do rejonu trwał 11 dni, a cała podróż 28 dni! Nie spodziewano się nas tak szybko. Zebrała się cała władza rejonu i, o dziwo, pierwszą rzeczą, jaką się zajęli, to były napełnione spirytusem gąsiory. Dano nam również trochę spirytusu, Kazachowi dwa litry i mnie jeden litr. Pytam się, jaka to sprawiedliwość? Przecież to ja pilnowałem lekarstw, by nie pobiły się butle!

Zdane lekarstwa pokwitowali i dali nam pismo do kołchozu, że mamy dostać wolny tydzień od pracy. Lekarstwa, które dostałem od nieznanego dla rodziców, nosiłem w woreczku na szyi i stale sprawdzałem, czy nie zgubiłem. Po powrocie do kołchozu i zdaniu wozu, wielbłądów i uprząży biegiem wpadłem do naszej lepianki, wywołując wiele radości. Natychmiast dałem ojcu jedną tabletkę, nic nie mówiąc o jej działaniu. Tak samo oddałem mamie tabletki. Z przyniesionego spirytusu mama zrobiła lekarstwo do nacierania ojcu pleców. Ten spirytus okazał się wielkim skarbem, bo mama mogła zrobić wiele lekarstw. Mama umiała leczyć wiele chorób domowym sposobem, zagoić głębokie rany, złożyć złamaną rękę, nogę, odebrać dziecko przy porodzie itp. To wszystko robiła jeszcze w Polsce. Posypały się pytania dotyczące mojej podróży i źródła pochodzenia lekarstw. Otrzymanie leków od nieznanego na ulicy Taszkientu zataiłem, do czasu uzyskania rezultatów ich stosowania. W trzecim dniu ojciec usiadł na posłaniu o własnych siłach, nie czując bólu. Płakał z radości jak małe dziecko. To było wielkie, cudowne uzdrowienie. Mama również poczuła się lepiej. Nastąpiła wielka, rodzinna radość. Uklękaliśmy, odmówiliśmy litanie do Serca Jezusa i Matki Boskiej. Dziękowaliśmy za otrzymane łaski i pocieszenie.

Był piękny, słoneczny dzień, kiedy to, po ponad sześciu miesiącach leżenia, wyprowadziliśmy ojca przed naszą lepiankę. Pojechałem osiołkiem w góry i przywiozłem dwa drzewka, z których wykonałem kule pod pachę. I tak zaczęła się nauka chodzenia. Ojciec nie potrafił utrzymać równowagi, próbował chodzić na czworakach. W mojej stanowczości byłem nieugięty. Powiedziałem, że jeśli nie zrobi kilku kroków, nie dostanie jedzenia! Złościł się, ale zaczął stawiać pierwsze kroki, co dzień to więcej. Po trzech tygodniach zaczął normalnie chodzić. Mama nacierała mu plecy i nogi ziołowym preparatem przyrządzonym przez siebie z ziół i spirytusu. Boże – dzięki Twej opatrności ojciec znów chodził i będzie mógł pracować!

Jesień 1943 roku. W kołchozach coraz większa bieda. Brak rąk do pracy w kopalni rudy w Aczysaj-Sergo, gdzie pracujący otrzymywali po 600 g chleba

i produkty żywnościowe. Była też stołówka wyłącznie dla pracujących. Żaden kołchoz nie miał prawa zatrzymać chętnych do pracy w kopalni.

W tym czasie otrzymałem wezwanie do przysposobienia robotniczo-wojskowego FZO i do pracy w kopalni Aczysaj-Sergo. Ojciec i cała rodzina, nie widząc możliwości egzystencji w kołchozie, postanowili też przenieść się do pracy w kopalni rudy. W kołchozie upierali się, aby zatrzymać moją rodzinę, ale interwencja rady dała rezultat. Kazano rozliczyć całą rodzinę. Ja po przybyciu i zameldowaniu się w komendzie FZO oświadczyłem, że cała moja rodzina przybędzie do pracy w kopalni, z tego też względu powinniśmy dostać rodzinne mieszkanie. Po kilku dniach przyjechała cała rodzina. Jako tymczasowe zakwaterowanie otrzymaliśmy duży pokój z kuchnią (z rozwalonym piecem). Po dokonaniu zameldowania i po zbadaniu ojca, że jest po przebytej poważnej chorobie, przydzielono ojca do pracy w charakterze stróża nocnego przy magazynach kopalnianych. Starsza siostra Anna jako pomoc kucharki w stołówce górniczej. Młodszą siostrę Franciszkę (14-letnią) skierowano do szkoły na naukę obsługi pociągu elektrycznego w kopalni do wyciągania naładowanych wózków z rudą, zawożenia budulca na podbudówkę urobiska, korytarzy czy sztolni. W kopalni tej pracowały dzieci od 13 lat, chłopcy i dziewczęta. Tu też zatrudnieni byli jeńcy wojenni, zwłaszcza Japończycy, oraz różni przestępcy i młodociani chuligani. W pracy nie przestrzegano zasad bezpieczeństwa pracy. Każdego dnia wywożono kilka trupów. Ludzi tych przysypał urobek lub zabijały niewypały przy zrywce. Praca rozpoczynała się o godzinie 6 rano. Dzieci szły, dźwigając lampy karbidowe, służące do oświetlania stanowiska pracy. Strach i litość ogarniały na widok tych biednych dzieci, na które wszędzie czyhała śmierć lub kalectwo.

Po dwóch tygodniach pracy jako pomocnik otrzymałem miano wiertacza przodowego i chodnikowego. Ręczna maszyna ze świdrem i podłączonym wężem powietrza ważyła 30 kg. Nazywali ją *małatok odbojnyj*. Podczas borowania otworu maszyna oparta o pierś trzęsła całym ciałem. Ręce mdlały, w piersiach bolało, do tego dochodził kurz kamienny zatykający oddech. Normy były wysokie i trzeba było ogromnego wysiłku, aby je wykonać. Za tę pracę dostawało się 600 g chleba, miskę zupy i łyżkę kaszy z olejem oraz tytoń, jak również ubranie robocze. Była to *rubaszka* (bluza koszulowa), drelichowe spodnie i hełm na głowę. Po wyborowaniu 25 otworów (głębokości 1 metra) stanowisko było przygotowane do ostrzału. Przychodził strzałowy i zakładał laski dynamitu, zapalając lonty. Ukryty w bezpiecznym miejscu, liczył, czy wszystkie zapalniki z dynamitem wybuchły. O wynikach meldował brygadziście lub kierownikowi oddziału. Urobek należało załadować do wózków, sprawdzić, czy nie ma groźnych zwisów i pęknięć, a następnie podstemplować wyrobiska drzewem. Proces ten powtarzał się. Jeżeli wiertacz fachowo przeprowadzał operację wiercenia, to zrywka była bogata.

Dzieci pracowały przeważnie przy ładowaniu wózków w kopalni, przy zmianie zwrotnic lub jeździe pociągiem elektrycznym. Siostra Franciszka (14 lat) prowadziła pociąg elektryczny. Pracę tę dobrze opanowała, nie dopuszczając do wywrotki wagonu czy wykolejenia. Jeśli nastąpiło skaleczenie się dziecka upadającym kamieniem, w korytarzach udzielał pomocy punkt opatrunkowy. Dysponowano też bandażem, jodyną i jodoformem. Po opatrzeniu rany dziecko wracało do pracy w grupie. W ciężkich przypadkach wywożono do szpitala

(*bolnicy*) kopalni. Patrząc na nie, człowieka ogarniała głęboka litość i łzy. Dzieci wynędzniałe, brudne i obdarte zmuszane były do tak ciężkiej pracy przy ładowaniu kamienia czy rudy, zamiast chodzić do szkoły i uczyć się, i bawić! W kopalniach grasowały stada szczurów, które w chwili nieuwagi natychmiast porwały zawiniątka z chlebem. Panie Boże, jeśli widzisz tę nędzę, jak smaga i dziesiątkuje dzieci górników, zlituj się nad nimi!

Wśród górników można było spotkać Rosjan, Ukraińców, Tatarów, Kazachów, Uzbeków, Czeczeńców, Polaków i innych. Zgromadzeni byli oni wszyscy w barakach obok kopalni, w pomieszczeniach mieszczących 10 prycz do spania. Żywili się w stołówkach kopalni i dostawali po 600 g chleba.

Pewnego dnia, idąc do pracy w kopalni, napotkałem płaczącą 14-letnią dziewczynkę – Wandę Wiśniewską. Opowiedziała mi, że mieszka ze starszą siostrą Jadwigą. Rodzice i brat zmarli podczas transportu do granicy Persji, na tyfus. Młodsza wyszła z pociągu i więcej jej nie widzieli, zaginęła, ich ojciec przed wojną był kierownikiem szkoły koło Stanisławowa. Wanda pracowała na III pokładzie w kopalni, przy załadunku wagoników. Starsza, Jadwiga, pracująca razem z nią, miała wypadek. Spadający kamień złamał jej rękę, i przebywa w domu. Jak się okazało mieszkały w baraku w pobliżu nas. Po pracy udałem się do nich wraz z mamą, aby ich odwiedzić i opatrzeć chorą rękę Jadwigi. Mieszkanie to składało się z pokoju i kuchni, pieca żelaznego, skrzynki służącej za stół, w kącie podwójnej pryczy do spania. Ściany były z dziurami, w oknach powybijane szyby, deski w podłodze przegniłe. Mimo opłakanego stanu izba była posprzątana i czysto utrzymana. Znalazły w opuszczonym baraku stary, zardzewiały garnek do gotowania, dwa blaszane talerze i kubki oraz drewniane łyżki. To był ich cały majątek. Jadwiga zdobyła w kopalni siekierę, miały przynajmniej czym rąbać drzewo. Mama często odwiedzała panny Wiśniewskie, służąc im radą i pomocą. Zapoznałem również z nimi moje siostry. Anna, która pracowała w kuchni, usiłowała, w miarę możliwości, zwiększyć im porcje kaszy czy dać gęściejszej zupy. Musiała się przy tym mieć na baczności, gdyż za takie rzeczy groziło jej wyrzucenie z pracy. Władze kopalni kontrolowały stołówkę, a przy okazji żądały prezentów w postaci kaszy, oleju czy mąki z przydziału przeznaczonych dla dzieci górników stołujących się w stołówce. *Powarycha* dawała, co żądali, klnąc przy tym, ale była bezradna. Nie miała gdzie złożyć skargi w obronie okradanych dzieci. Każdy z nas posiadał talony – kartki żywnościowe. Nie daj Boże, jeśli zostały zgubione lub skradzione! Groziła wówczas dwutygodniowa głodówka. W tejże kopalni rudy żelaznej zatrudniano również zesłańców z Czeczenii. Wywieziono ich ze swego kraju, ponieważ buntowali się przeciwko władzy Stalina. Do Aczysaju przywieźli około tysiąca rodzin, a po upływie kilku tygodni została ich tylko garstka. Reszta wymarła z wycieńczenia i różnych chorób. Nikt się tymi ludźmi nie zajmował. NKWD twierdziło: – To zdrajcy narodu, naszego państwa i władzy, niech zdychają!

Aczysaj położone jest w kotlinie górskiej, w kolebce składającej się z kilku setek lepianek, szeregu budynków z cegły dla rządowych i kierownictwa kopalni rudy żelaznej oraz dziesiątków baraków jeńców japońskich, szkoły (FZO), do której przyjmowano młodzież powyżej 14 lat.

Jeśli spojrzymy na system wychwalanej władzy sowieckiej, to widać, że oparta była na zastraszaniu łagrami, obozami przymusowej pracy i więzieniami,

gdzie bicz, głód i nędza rządziły, tępiąc bezlitośnie wszystkich tych, którzy podejrzani byli o opór przeciw komunizmowi i władzy sowieckiego raju. W ten sposób każdego dnia w Rosji sowieckiej ginęły dziesiątki niewinnych ludzi, grzebanych w nieznanach miejscach, o których wiedzieli tylko nieliczni z NKWD. W takich warunkach rodzina nasza doczekała się zakończenia wojny w 1945 roku. Władze kopalni niechętnie obwieściły, że Polacy mogą rejestrować się na powrót do Polski i należy wypełnić kwestionariusze udowadniające, że jest się Polakiem, podać, gdzie się zamieszkiwało do 1940 roku oraz gdzie przebywało w Rosji. Zarząd kopalni nie chciał stracić taniego robotnika, dlatego wielu Polakom odmówiono i nie przyjęto kwestionariuszy, zwłaszcza samotnym mężczyznom i kobietom, osobom nie mającym dowodu, że są Polakami. Rejestrację rozpoczęto w ostatnich dniach listopada 1945 roku w Urzędzie Repatriacyjnym w Sergo-Aczysaj. Następnie dokumentację przesyłano do Urzędu Repatriacyjnego w Czymkencie w ciągu miesiąca. Jakaż radość panowała wśród Polaków, że już niedługo wrócimy do macierzy.

Ojciec udał się w imieniu naszej rodziny z kilkoma samotnymi Polakami, rejestrując nas na wyjazd. W punkcie rejestracyjnym pouczone nas, co należy zrobić, by można było bez przeszkód wyjechać. I tak: każdy musiał posiadać zwolnienie z pracy, wymeldowanie, rozliczenie się ze sprzętu kopalni i że z niczym nie zalega oraz zaświadczenie o zdaniu zajmowanego mieszkania. Kto tych dokumentów nie przedstawił, nie otrzymał przydziału miejsca w wagonie i nie był wpisany na listę żywnościową w czasie trwania podróży. Wyjazd wyznaczono na pierwszy tydzień lutego 1946 roku. Zapanowała wielka radość i nadzieja, że wreszcie będziemy mogli powrócić do Polski, i każdy starał się, by dokumenty były w porządku oraz przygotowywał zapasy na daleką powrotną drogę.

26 grudnia 1945 roku udaliśmy się do kołchozu Bał-Osu-Zu, gdzie pochowana była młodsza siostra Rózia, by odświeżyć grób i odmówić pacierz na jej grobie oraz pożegnać w imieniu całej rodziny. Była to dla nas bardzo smutna chwila, że po raz ostatni jesteśmy przy grobie, że z dala od Ojczyzny, wśród stepów Kazachstanu i wśród mahometan będzie ona samotnie spoczywać. Pokropiliśmy mogiłę obficie naszymi łzami, prosząc Stwórcę o łaskę zbawienia tej niewinnej duszy.

Po powrocie opowiedzieliśmy rodzicom o odnowieniu grobu siostry. Tym razem całą rodziną udaliśmy się na grób siostry Stefci, by pożegnać ją na cmentarzu Sergo-Aczysaj. Boże, Ty tylko wiesz, ile łez wylali cierpiący zesłańcy i łagiernicy na przeklętej ziemi – czerwonego tyrana. Około 20 stycznia 1946 roku nasza rodzina, składająca się z rodziców – Wojciecha i Zofii, sióstr Anny, Franciszki i Marii, wyruszyła kolejką wąskotorową z Sergo-Aczysaj do Czymkentu, gdzie zostaliśmy wpisani na listę do transportu. Wraz z nami przyjechało kilka innych rodzin, a wśród nich siostry Wiśniewskie.

Znów wagony towarowe z pryzkami, ale bez krat. Otrzymaliśmy przydział w wagonie wspólnie z siostrami Wiśniewskimi oraz 18 Żydami, z których większość nawet nie mówiła po polsku. W punktach repatriacyjnych urzędowali przeważnie Żydzi. Transport po przeliczeniu liczył 1200 osób, w tym 350 Polaków, 850 – to Żydzi. Pociąg udekorowano portretami Bieruta, Kościuszki, Lenina i Stalina oraz wielkimi transparentami, głoszącymi o braterstwie polsko-rosyjskim. Otrzymaliśmy prowiant na 14 dni podróży.

Wyruszyliśmy 3 lutego 1946 roku z Czymbkientu, dziękując Bogu za ocalenie resztek rodziny. Łzy radości, a zarazem smutku za tymi, którzy pozostają na znieprawionej, przeklętej ziemi. – Boże! Ty pozwoliłeś przeżyć mękę, głód, cierpienie różnych chorób, prześladowań, pozwól nam szczęśliwie wrócić do Matki –Polski! – tak modliła się nasza rodzina do Stwórcy przez całą powrotną drogę. Transport gnał przez stepy Kazachstanu oraz Uzbekistanu, przystając jedynie na uzupełnienie wody i węgla. Po siedmiu dniach byliśmy już w Kujbyszewie, gdzie po 14 godzinach i dodatkowym zaopatrzeniu w żywność i wodę ruszyliśmy dalej do Kijowa, w którym świętowano Wielkanoc 1946 roku.

Po 24 godzinach ruszamy dalej, ciesząc się, że już wkrótce będziemy w Polsce. Jadąc przez Tarnopol, nasze miasto wojewódzkie, widzimy zniszczenia pozostałe po froncie. Taki sam widok był wszędzie. Zniszczenia, zgliszcza, porozrywane i spalone domy – to spuścizna pożogi wojennej. Jadąc, myśli biegną naprzód, układając spotkanie z granicą oraz przywitanie na polskiej ziemi.

Dojechaliśmy do Chodorowa, to jest przed nową granicą Polski i Rosji po stronie rosyjskiej. Tam znów mieliśmy do czynienia z NKWD. Weszli do wagonu, sprawdzili dokumenty i nakazali wymienić ruble na złotówki, wszelkie posiadane książki rosyjskie i polskie należy zdać, tak samo inne przedmioty pochodzące z Rosji. Ci, którzy tego rozkazu nie wykonają, będą sądzeni i wysłani z powrotem do łagrów! Wszystkich ogarnął strach, oddawano dużo rzeczy, które były osobistą własnością. A oni przyjmowali, pytając, czy nie posiadamy ich więcej. Tak zostaliśmy przywitani na kochanej granicy polsko-rosyjskiej. Po prawie jednodniowym postoju ruszyliśmy dalej do Przemyśla. Gdy pociąg stanął, ludzie wyszli z wagonów, całując na kłęczkach ziemię ojczystą. Śpiewano *Boże coś Polskę!*, roniąc obficie łzy radości i uniesienia,

W Przemyślu urzędnicy z Punktu Repatriacyjnego sprawdzali dokumenty i wszystkich rejestrowali, informując, że wszyscy pojedą do Opola, gdzie mają się osiedlić. Rolnicy otrzymają gospodarstwa, a robotnicy mieszkania w miastach Dolnego Śląska. Takie było powitanie rodzin (niedobitków), powracających po sześcioletniej tułaczce i cierpieniach z sowieckiego raju do wymarzonej Ojczyzny – Polski.

Dzięki Twojej woli i opiece, Boże, wróciliśmy!

\*

Odpis wiersza odczytanego 3 maja przy ognisku, na przerwie obiadowej w Leśnej Polanie, Permohornaja Zapad, na zalewie rzeki Dwina, archangielska obłast, w 1941 roku, wśród zebranych Sybiraków.

Ileż przelało się polskiej krwi  
Ileż bólu i cierpienia zaznał zesłaniec  
W głębi tajgi Syberii dlatego, że był Polakiem  
Dlatego, że kochał swą ziemię ojczystą  
Dlatego, że mówił polskim językiem  
Dlatego, że czcił Ciebie, Pani Ostrobramska  
Dlatego, że czcił Ciebie, Pani Częstochowska  
I Twego Syna.

Znęcał się wróg i myślał  
Że rzuci ciebie, Kresowiaka, na kolana  
Że będziesz prosił i się wyrzekał

Tej Matki – Ojczyzny  
Tej Matki Ostrobramskiej  
Tej Matki Częstochowskiej i Jej Syna.

Jak się bardzo pomylił i ileż się napieklif  
Ty synu Kresów Polskich  
Szedłeś z podniesionym czołem do boju  
O wiarę świętą, o ziemię ojców  
O wolność i przywiązanie do ojczyzny  
Umierałeś z honorem w boju w tajgach Sybiru  
W łażrach i więzieniach tortur

Ostatnim twoim tchnieniem ducha był okrzyk  
Jestem Polakiem!!!  
Kocham Cię Matko Ostrobramska!  
Oddaję ducha w Twe ręce Matko z Jasnej Góry  
I błagam "Módl się za nami!"  
Uproś Syna o zmartwychwstanie naszej Ojczyzny – Polski  
Majowa jutrzienka znów nam zawita  
w wolnej i niepodległej Polsce  
A Orzeł Biały wzbije się znów „Tak nam dopomóż Bóg”

*Napisał Stanisław Lasek, kiedy miał 16 lat*